Nr. 41. 11. Grudnia 1860.

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. $2^1/_2$ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. $4^1/_2$ zł., kwart. $2^1/_4$ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. $157^1/_4$.

☞ *Z powodu przypadku przy druku tego numeru musiano przedsięwziąć drugi nakład, dlatego spóźniło się wydanie.*

MARYA.

Szkic powieściowy.

(Dokończenie.)

VII.

Na to późne pukanie dwaj ajenci petersburscy mocno się zmieszali.

— Czy otworzyć? — zapytał porucznik nieśmiało.

— Otwórz — szepnął po chwili kapitan Paniutyński.

Wszedł pan de Saint Preux.

— Co za niespodziewany zaszczyt! — witał go kapitan z serdecznością.

— Wracając z obozu widziałem, że się przez szpary okiennic pana świeci.

— To być nie może! — przerwał mu nieostrożnie kapitan i temi słowy zdradził to, czego pan de Saint Preux dowiedzieć się chciał, twierdząc wbrew prawdzie, że spostrzegł światło przez okiennice tak szczelnie zaopatrzone zdradził, że nie chce, aby kto wiedział, że jest czemś zajęty.

— Jeżeli tak nie było, złudzenie było sprawą przeczucia mego. Wszak cię zastałem kapitanie i będę mógł, jeźli pozwolisz przegawędzić z tobą godzinę. A może przeszkadzam ci w czem?

— Bynajmniej. Od godziny nudzę już porucznika opowiadaniem kampanii wielkopolskiej. Biedak po raz dziesiąty ją słyszał.

Oko pana de Saint Preux przebiegając przedmioty na stole leżące zatrzymało się chwilę na piórze jeszcze mokrem od atramentu.

— Pewnie dyktowałeś tę kampanię panu porucznikowi? zapytał niby od niechcenia wicehrabia i przenikliwy wzrok swój utkwił na mieniącej się twarzy porucznika.

— Byłoby o czem pisać! odpowiedział z wymuszonym uśmiechem kapitan. Ale! ale, dobrze żeś przyszedł, wiadomości doskonałe. Bonaparte zerwał dalsze układy z Austryą! Zmyślona ta wiadomość miała pociągnąć za język wicehrabiego.

— Niech żyje Bonaparte! rzekł tenże udając że wierzy kapitanowi. A zkąd ta pomyślna wiadomość?

— Cały sztab o niej tylko rozmawia, nią się raduje. Tam się dowiedziałem.

Wicehrabia wiedział, że to fałszywa pogłoska, sam kapitan puścił ją w obieg.

— Widać że wam się szczęści, moi panowie, że wam Bóg dopomaga. Przed godziną pod eskortą przyprowadzono kozaka, którego Melfort schwycił w chwili, gdy się przez Dniestr chciał przeprawić do Rossyi. Mówią, że znaleziono u niego depesze ważne do dworu petersburskiego pod adresą kupca w Kamieńcu.

— Kupca w Kamieńcu? zapytał przerażony tą wieścią Paniutyński — Czy nie — tu chciał wymienić kupca, do którego on sam adresował depesze swoje; lecz opamiętał się i dodał: Czy nie pogłoska fałszywa? Mieliśmy już tyle błahych wieści.

— Być może; — mniejsza o to, co się ma stać, stanie się bez zdrajców. Zresztą mówiono mi, że jutro ma być zwołany sąd wojenny na tego kozaka — że i ty kapitanie masz być powołany —

— Panie wicehrabio! przerwał mu groźnie kapitan — na mnie sąd?

— Co za myśl! — zawołał dyplomata niby zdziwiony. Masz być powołany jako jeden z sędziów, nie zaś jako oskarżony.

— Niedorzecznym! że myśl podobna mogła mi przyjść do głowy! — Przyznam jednak, że ludzie bywają w nieszczęściu podejrzliwymi — i —

— I że samo podobieństwo posądzenia cię o jakikolwiek udział w sprawie tego kozaka jest rzeczą nader łaskotliwą — dla honoru twojego....

— Nieprawdaż? Lecz daruj, wicehrabio, muszę się natychmiast udać do sztabu, aby się dowiedzieć, czy będę jutro potrzebny, bo ja i porucznik wybieraliśmy się jutro na polowanie.

— Gdzie kozak czeka na wasze depesze, pomyślał wicehrabia. — Pozwolisz, rzekł dalej do siebie, żebyśmy się o tem przekonali.

Wtem odchyliły się drzwi i major Karnowski wszedł do pokoju.

— Bracia — rzekł z wyrazem rozpaczy — wiadomości najgorsze! Francya nas zdradziła, zawarła pokój, każe nam stanowczo rozwiązać konfederacyą, złożyć kokardy francuzkie. O Boże! mój Boże!

— Pokój! Francya? zawołał Paniutyński, udając zdziwionego. — Pokój! To być nie może! Czyż mogła, dodał retorycznie, tak dalece zapomnieć o nas, o sobie, o słowie danem, o świętości traktatów?

— Uwiadomił nas właśnie konzul francuzki. Co się w sztabie dzieje, o tem nie macie wyobrażenia. W pierwszej chwili rozpaczy marszałek chciał się za-

strzelić. Kosmowski wyrwał mu pistolet z rąk; strzał poszedł bokiem i drasnął Melforta. Zgubiła nas dyplomacya, i ślepa wiara w dane nam przyrzeczenia.

— Wspólność spraw narodów, — ciągnął dalej Paniutyński, — czcze słowo, niedorzeczność! Czyż nie przestrzegałem was zawsze, przed ową jakobińską polityką, która wzniosłszy panowanie swoje na gruzach tronu Francyi, chciwie odkupiłaby zabory swoje krwią cudzych narodów, zasłaniając się piersiami naszemi? Cóż nam pozostało, cóż się stanie z wami? zawołał załamując ręce z udaną rozpaczą.

Nastąpiła chwila milczenia. Wicehrabia rumienił się wstydem za swój naród i oburzeniem nad obłudnym gniewem kapitana.

— Marszałek wysłał mię do ciebie, aby cię wezwać do rady wojennej, jutro odbyć się mającej. Rano o godzinie dziesiątej mamy się zebrać u niego, a znana gorliwość i rozsądek twój będą nam bardzo pożądanemi. — I ty Wicehrabio, otrzymasz zaproszenie. Obyś potrafił naprawić krzywdę, którą bez winy swojej imieniem nieszczerego rządu nam wyrządziłeś.

Pan de Saint-Preux przyrzekł że przyjdzie, i wkrótce wyszedł.

— Że też jeszcze dowierzacie tym podłym obłudnikom, którzy kompromitują mężów aby tem łatwiej — lecz zostawmy to.

— Kapitanie, — rzekł major, który tak był przejęty nieszczęściem ogólnem, że nie zrozumiał przytyku kapitana, — słowo jeszcze, jutro sąd wojenny na jakiegoś kozaka, którego z depeszami schwytano nad Dniestrem? czy nie tak?

— O dziesiątej — powtórzył Paniutyński.

— Na kozaka? — Na jakiego? — Prawda, przypominam sobie. Sprowadzono kozaka, który się przeprawiał z Rossyi do nas, miał list z Kamieńca, ale do marszałka Dąbrowskiego, i o tem będzie mowa przy jutrzejszej radzie wojennej; ale o sądzie wojennym nie ma mowy. Owszem wynagrodziliśmy sowicie kozaka i odesłali na powrót do Kamieńca.

Gdy po chwili Karnowski odszedł, kapitan zwrócił się do porucznika:

— Jutro przed świtem wyjedziemy — na polowanie. Przygotuj wszystko, abyśmy mogli wrócić przed dziesiątą.

—Ależ czem wytłumaczyć to polowanie w chwili kiedy uczucie rozpaczy powinno nas ogarnąć?

— Niczem; była odpowiedź. Któż się dowie, żeśmy w lesie byli? A choćby — odwlekać nie można, — kozak czeka — wymówka się znajdzie.

Porucznik wykonał rozkaz. Strzelby i ładunki złagodzono, psy uwięziono w stajni.

Nad rankiem gęsta mgła okrywała równinę, kiedy obaj wyjechawszy tylną bramą dworka ze strzelbami i psami polem zapuszczali się w głąb lasu pobliskiego wąską wpółzarosłą drożyną. Tam, pośród gęstwiny rozciągała się obszerna polanka, której część przy drodze leżącą zajmowała zadymiona brudna chałupa z nędznym ogródkiem. Całe obejście niechlujnością i nieporządkiem zdradzało najwyższą nędzę. Przy chałupie był rodzaj kuźni, w której ogień się palił. Cygan piłował nad siekierą, którą właśnie co ukuł.

Przy tej chałupie stanęli myśliwi. Na wołanie ich wyszedł cygan, a poznawszy ich wołał na kogoś w domu. Ukazał się wkrótce chłop ogromny w stroju wołoskim. Odebrawszy mały liścik na cieńkim papierze wrócił do chaty, ajenci zaś rosyjscy wypuścili psy, sami zaś wracali spiesznie do domu. Wyjeżdżając z lasu, usłyszeli w dali przygłuszony huk strzału. Po chwili odzywały się głosy psów.

— Ktoś poluje w lesie, — rzekł porucznik, — a może kozak jadąc wystrzelił do lisa lub zająca.

— Być może; spieszmy.

Nikt nie polował w lesie; kozak strzelił wprawdzie ale nie do zwierzyny, lecz do innych kozaków w służbie konsulatu francuzkiego będących, którzy go ścigali, pokonali i związanego do Jas zawieźli. Po godzinie pan de S. Preux czytał depeszę kapitana.

VIII.

Gdy Paniutyński wrócił, zastał u siebie podoficera wysłanego od sztabu z rozkazem, aby się natychmiast udał do głównej kwatery.

— Co tam w sztabie słychać, bracie? Czy się już zeszli panowie? — spytał się tym pospiechem zniepokojony kapitan.

— Nie zeszli, lecz zbiegli. Pan marszałek tej nocy wpadł w malignę; nikogo nie poznaje i wciąż tylko komenderuje przez sen, jak bywało w Wielkopolsce przed trzema laty. Do ataku, chłopcy, krzyczy, do ataku! Och bieda! panie kapitanie.

— Spieszmy! spieszmy — rzekł Paniutyński na to do swego porucznika.

W chwili potem byli świadkami zamieszania, jakie panowało w głównej kwaterze. Obszerna sala oberzy przeznaczona przez właściciela do zabaw publicznych i balów karnawałowych była napełniona oficerami różnej rangi i różnej broni. Stali, siedzieli, przechadzali się w grupach ciągle odmiennych. Po ścianach przy drzwiach stało kilkadziesiąt nowo zaciężnych młodzików, którzy, choć rangi oficerskiej jeszcze się nie dosłużyli, jako synowie obywatelscy mieli przystęp do sztabu i z oficerami żyli na stopie poufałości. Oprócz nich wchodzili i odchodzili podoficerowie i szeregowcy nieszlacheckiego pochodzenia, bo oprócz czasu służby, gdzie ścisłej żądano karności od wszystkich, wszyscy byli przypuszczeni do równego udziału tak w szczęściu jak w niepowodzeniu, byli bowiem wszyscy synami jednej matki równie drogiej ich sercom. Niech jednak czytelnik nasz nie myśli, że owe różnice rangi, broni lub stanu odrysowywały się wybitnie w tej sali pstrokacizną kolorów, połyskiem szlif, różnością mundurów. Tak oficer wyższej rangi jak i prosty żołnierz nosił szaraczkową wołoszkę z wyłogami czerwonemi i białą krakuskę z kokardą trójkolorową. Ranga

odznaczała się kilkoma galonami, kitką zamiast pawiego pióra na czapce, zresztą jak kogo na co stać i jak komu próżność i dostatek szepnął: — zwyczajnie jak w wojsku powstańczem.

Jedno przecież wszystkim było wspólne: wyraz trwogi i smutku, który się na wszystkich twarzach malował. Przerażająca wieść, która od rana gruchnęła w mieście i w obozie, z ust do ust krążąca, przesadzona, okraszana niedorzecznemi często dodatkami przytłumiła w tej chwili i zdrowy sąd o położeniu obecnem i zaufanie w sobie i w skutek usiłowań podjętych a przeto i niezachwianą dotąd mezkość tak potrzebną w chwilach stanowczych. — Opowiadano, że Francya zaprzedała Polskę carowi, że rzeczpospolita ubiega się o względy i przymierze a przynajmniej o neutralność gabinetu petersburskiego. Kilku panów na dworze Ludwika XVI wychowanych upewniali, że jenerał Bonaparte jest w zmowie z Bourbonami, że chce przywrócić dawny rząd we Francyi; że mu hrabia Prowancyi przyrzekł posadę jenerała porucznika i order świętego Ludwika i tytuł markiza. Nieświadoma polityki szlachta doznawszy tyle zawodów, uwierzyła tym i kilku innym bredniom niedorzecznym, sprzecznym nawet między sobą: jak gdyby wzrastająca sława Bonapartego mogła mieć inną podstawę jak tylko zaufanie rzeczypospolitej, a ta znowu silniejszego przymierzeńca nad wspólność spraw wszystkich narodów: jak gdyby chwilowe wymagania polityki mogły kiedykolwiek przemienić istotę państw i narodów, ich rozwój konieczny, ich instynkt nieomylny: jak gdyby wody wytryskające źródłem u stóp góry mogły być odwrócone w kierunku przeciwnym, jak gdyby mógł kto skierować je ku wnętrzu góry! Zatkaj otwór, któremi płyną, a wysączą ci się w innem miejscu tem silniej ku światłu, ku niebu.

Nieraz gorąca porywczość i zbytnie zaufanie w swe siły przewlokły niestety ziszczenie najpiękniejszych nadziei, lecz czynami poświęcenia i waleczności pomnożyły skarb wspomnień narodowych, któremi się przyszłe pokolenia zasilają, a niejedna klęska narodu jest jego chlubą i chwałą, jest, że tak powiem, Termopilami, z których synowie i wnuki nabierą sił i otuchy do zwycięztw salamińskich, platejskich. — Ale jak nazwać rozpacz, jak zwątpienie o sobie, jak dwuznaczny rozsądek, który chcąc ugłaskać nieprzyjaciela i uspić, usypia tylko ducha własnego, marnuje puściznę ojców i kończy na tem, że świętą księgę dziejów narodu zbracza swym kałem prywatnym, — niestety karta z której wyjmujemy koniec opowiadania naszego, mieści jeden z owych ustępów, od którego radzibyśmy się odwrócili, jeden z ustępów rozpaczy, zwątpienia, po którym nastąpiła niedługa szczęściem noc zaspałości i upadku, oświetlona blaskiem chwały i klęsk legionów we Włoszech walczących.

Kiedy w sali sztabu głównego obiegały słowa rozpaczy, szemrane na przemian z gwałtownemi wybuchy oburzenia na Francyą, kiedy niejedno słowo niegodnego żalu za domem i pokojem wydobywało się z głębi zwątpiałych serc, inna odbywała się scena w pokoju przyległym. Młody marszałek konfederacyi leżał tam w gorączce na sofie, odrzucając co chwila płaszcz którym go przykryto, zrywając się, szepcąc niezrozumiałe rozkazy, a wnet znowu wpadając w sen i bezwładność. Nieustraszone meztwo i nieugięta wytrwałość, którą okazał w powstaniu Kościuszkowskiem, okryły go chwałą i zjednały mu serca nierównie starszych od niego oficerów. Wszak kiedy już wszystko było stracone, kiedy Suwarow panował w Warszawie a cała Polska jeżyła się bagnetami zaborców, on jeden dotrwał do ostatka, broniąc się jeszcze przez miesiąc cały w Wielkopolsce przeciw wojskom pruskim i potrafił utrzymać ducha między swoimi śród upadającego wszędzie powstania. Teraz owa nieugiętość złamała się pod wpływem wiadomości o pokoju w Campo-Formio zawartym. — Niemoc fizyczna miała niestety pokonać do szczętu szlachetną hardość duszy jego.

Przy chorym byli tylko lekarz, pani Karnowska, która pielęgnowała chorego, mąż jej, i stary sługa marszałka. — Na stole leżały papiery, kilka książek raportowych, para pistoletów, na komodzie zastawionej lekami starożytny zegar bronzowy wybijał godziny smutku — i trwogi. — Pałasz stał w kącie.

Tymczasem oficerowie zwołani zebrali się w sali, zawezwano także Karnowskiego. Sułkowski, najstarszy z pułkowników uwiadomił ich słowami pełnemi godności, o tem co zaszło i oświadczył, że powołany od innych pułkowników obejmuje dowództwo na czas niemocy marszałka, zawezwał wszystkich do spokojnego i godnego zachowania się i prosił, aby go radą i czynem wspierali w trudnem położeniu obecnem. Zagaił zarazem radę wojenną i doniósł, że książę hospodar Ypsilanti oświadczył się, iż gotów pośredniczyć między konfederacyą a imperatorem, obiecując wyjednanie przebaczenia i łaski cesarskiej. Szło o to, jaką odpowiedź dać księciu.

Nastąpiło milczenie. Potem oficerowie zaczęli szemrać między sobą. Zdania rozdwoiły się. Paniutyński zabrał głos. Powstawał gwałtownie przeciw podobnemu krokowi. Miotał frazesami obłudnemi przeciw carowi. — Jeżeliby jednak — kończył — konfederacya opuszczona od świata całego, słaba w swych środkach nieznajdująca w kraju odgłosu i pomocy, zgodziła się na krok tak rozpaczliwy, wtedy nie książę Ypsilanti, nie obcy nam hospodar, lecz nieszczęśliwy jak my król nasz Stanisław August niech nas pogodzi z cesarzem Pawłem. Używa on jego przyjaźni, ma wpływ u niego i może wyjednać narodowi warunki, któreby byt jego na przyszłość zapewniły, co może trudności nie spotka, gdyż Imperator niesprawiedliwość wyrządzoną Polsce głęboko uczuł i radby naprawić krzywdę której doznała od matki jego; gotując nawet wojnę przeciw niegodnej Francyi, myśli utworzyć wojsko narodowe polskie, przywrócić krajowi instytucye jemu właściwe, być królem Polski i prowadzić dalej świetne dzieje narodu polskiego. Dał tych zamiarów swoich

*

rękojmię wypuszczając na wolność jeńców tyle nam drogich i odrzucając dotychczas wszelką wspólność z nieprzyjaciołmi naszymi. Ale cóż? — e dodał retorycznie — cóż, korzyści osobiste, stopnicj wojskowe, opływanie w dostatki, cóż nawet korzyśi publiczne, którebyśmy krajowi pod berłem rosyjskiem wyjednać mogli; — serca niepodległe brzydzą się newolą choćby najświetniejszą. Głosuję za odrzuceniemwszelkiego pośrednictwa.

Wszyscy poszli za tem zdaniem, żaden głos nie podniósł się za pośrednictwem księcia, ale ziarno samolubstwa rzucone mową jego wyrosło w wielu z tych serc dotąd hardych i szlachetnych, rozkrzewiło się w mnóstwo celów i względów prywatnych, które zręczny dyplomata rozsądek pod dalszym wpływem Paniutyńskiego i słabszych na duchu umiał oblec pokrywką potrzeb publicznych, aż nakoniec, gdy po sześciu tygodniach marszałek wyzdrowiał, uchwalono udać się do pośrednictwa Stanisława Augusta. Uchwałę tę poczytano sobie za akt poświęcenia się dla dobra ojczyzny! Imperator poznał się na takiej szlachetności, nadał ułaskawionym stopnie wojskowe, obdarzył ich dobrami i orderami! — Jedna tylko jest droga cnoty i szlachetności, wszystkie inne ścieszki uboczne zaprowadzą jednych w przepaść, drugich w piaski, innych nareszcie w bezdenne bagna.

Czemuż Pan de St. Preux milczał, czemuż nie zdarł maski z oblicza podłego ajenta?

IX.

Ostateczne postanowienie konfederacyi napełniło serca godnych synów ojczyzny goryczą i smutkiem. Serca ich prawe nię mogły się pogodzić z myślą poddania się. Karnowski należał do ich liczby. Ale Karnowski wzrósł w służbie wojskowej. Przywykły do karności upatrywał w rozkazach przełożonych swoich wyroki, którym się poddać było obowiązkiem żołnierza i obywatela. Uczucie braterstwa łączące go z towarzyszami broni było u niego tak silnem, że uważał za niegodziwość oderwać się od nich, iść innym torem, choćby może lepszym. Gdyby był usłuchał prawego uczucia swego i poszedł za zdrowym instynktem, niezawodnie byłby szedł drogą godności, ale wpływy i rozumowania obce spaczyły kierunek jego instynktu i wywoływały w nim walkę wewnętrzną, której był tak długo ofiarą, póki konfederacya stanowczo nie postanowiła, aby się poddać na łaskę. Po wyroku konfederacyi uspokoił się jak zwykle ludzie instynktowi i uczuciowi przy narzuconych im decyzyach i przyjął biernie co uchwalono. Walkę poprzednią zataił przed żoną: nie widział potrzeby powierzenia się jej z tem, co, jak wiedział, było dla niej bolesnem. Teraz musiał jej wykryć, co uchwalono.

Już było pod wieczór, gdy z posiedzenia konfederacyi wracał do domu. Marya wiedząc o czem radzono, z największą niespokojnością oczekiwała męża. Przeczuwała skutek narady, bo wiedziała, jak mocno konfederaci upadli na duchu, miała jednak nadzieję, że się zatrzymają w chwili stanowczej, że widok przepaści ich opamięta. Stała przy oknie. Władyś stał przy niej i pierwszy poznał ojca wracającego między drzewami. Klasnął chłopczyk w ręce uradowany widokiem ojca. Marya chciała wyczytać z twarzy męża wyrok życia lub śmierci dla najdroższych Polce skarbów. Oczy jej spotkały się z ponurym spokojem wypisanym na jego rysach.

Wszedłszy do pokoju przywitał się z roztargnieniem z żoną, przymilającego się syna żadną pieszczotą nie obdarzył, milcząc usiadł na sofce.

— I cóż stanęło? — zapytała nieśmiało Marya.

— Nie pytaj — odrzekł. Jutro wygotujemy list do króla; za kilka tygodni kilku z nas udadzą się do Petersburga, aby osobiście wyjednać łaskę imperatora.

— Któż ma należeć do tej deputacyi?

— Wybrano marszałka, Kosmowskiego, Brodziszewskiego — mnie...

— A tyś przyjął? — pojedziesz? — zapytała z wzrastającą niespokojnością, a oko jej niecierpliwie wisiało na ustach męża, aby uchwycić wylatujące słowo śmierci lub zbawienia.

— Cóż pozostało? — tłumaczył się Karnowski, — przyjąłem.

Spazmowy wybuch płaczu przerwał dalszym jego słowom. Dotychczas niezłomną wiarę pokładała w swym mężu. Szlachetność uczuć jego była gwiazdą nieprzyćmioną dotychczas żadną chmurą połyskującą śród nocy nieszczęść. W blasku tej gwiazdy powstała miłość w sercu dziewiczem, ku niej z dumą skierowało się serce żony. W mężu swoim ziściły się marzenia Polki, w nim kochająca matka widziała przyszłość i nadzieję syna. Jedno słowo jego zniszczyło cały świat jej serca, zburzyło świątynię, którą mu w niem wystawiła. — Słowem jednem zstąpił z piedestalu, na którym się wzniósł i wszedł w szeregi ludzi powszednich.— Rozczarowanie było okrutne.— Po pierwszym wybuchu kilkakrotnie powtarzającym się uspokoiła się, ale już była inną, nieznany dotąd wyraz uroczystego żalu wystąpił na jej twarzy, wstała, wyjęła jakieś papiery z komody i podając je mężowi, rzekła:

— Czytaj:

Pan Karnowski przebiegając słowa skreślone znaną mu ręką, zbladł; potem rumieniec wstydu zalał jego lica.

— Byłem igraszką podłej intrygi, zawołał z uniesieniem gniewu, porywając za pałasz, aby się nim opasać. — Ależ nikczemnik odpowie życiem za hańbę którą chciał mię okryć. To mówiąc chciał wyjść, aby wykonać groźby swoje.

— Stój! — zatrzymała go żona — stój! — Nie tylko szpieg ów moskiewski, który ową depeszę napisał, — są i inni, niestety są inni, którzy już zawiązali stosunki, których duma, ambicya, zarozumiałość i niedorzeczna łatwowierność niezwrotnie popchnęła w przepaść — dzisiejsza narada —

— Mój Boże!

— Była tylko pozorem. — Oto dowody, dodała podając mu drugie pismo.

Karnowski z przerażeniem chwycił za papier — lecz siły go odstąpiły i z wybuchem rozpaczy upuszczając pismo zawołał:

— Nie chcę — nie chcę, w tej chwili nie mogę! Och! jakżem nieszczęśliwy!

— Nie ty, nie ty — odparła smutnie Marya — ale matka nasza. Opuścili ją synowie, na których polegała, których koroną cierni swoich ozdobiła, którym godność i przyszłość swoję powierzyła.

Potem dodała:

— Nie pytaj, jak papiery które ci podałam, dostały się do rąk moich. Odebrałam je dzisiaj. Byłabym otrzymała je pierwej, lecz wola wyższa sprzyjająca niecnemu rozwiązaniu sprawy konfederacyi wstrzymywała dotąd rękę nam przyjaźną. Oby jej Bóg błogosławił.

Mówiła dalej: — Módlmy się do Boga aby nam sił dodał, by wytrwać przy sprawie nam świętej, by nie wpaść w poniżenie, byśmy szli drogą cnoty i poczciwości, nie kierowali się dumą, nie chcieli pokonać nieprzyjaciół naszych matactwem — bo drogi te wszystkie są drogami do zguby. A skarby przeszłości pomnażajmy skarbami nowych poświęceń, aby synowie nasi i córki nasze dalej prowadziły dzieje odradzającego się narodu. Przyjdzie chwila prac i poświęceń a my w każdej chwili działajmy, jak gdyby Bóg nam powierzył dokonanie tego wielkiego dzieła. — Władysławie! Przebaczam ci — rzekła dalej podając mu rękę — przebaczam ci chwilę niewypowiedzianej goryczy, którą dzisiaj napełniłeś me serce, musimy się rozstać.

— Rozstać? Przenigdy!

— Rozstać — powtórzyła Marya, a oczy jej zalały się łzami. — Ty pójdziesz walczyć za granicami Polski — a ja złożę syna naszego — na łonie wspólnej nam matki, i wychowam go, aby — kiedyś —

Łzy przerwały dalszym słowom, — rozczuleni rzucili się w objęcie. Tymczasem chłopczyk nucił pieśń naszą.

Piętnaście lat po tych wypadkach armia francuzka pod dowództwem samego cesarza walczyła nad Dnieprem i Dzwiną przeciw potędze moskiewskiej. Wojsko polskie z tą armią połączone dokazywało cudów waleczności.

Podczas krwawego oblężenia Smoleńska w wilią wzięcia tej warowni jenerał brygady polskiej wysłany przez księcia Józefa do dowódzcy artyleryi francuzkiej, aby się porozumieć o szturmie, poznał w tymże dawnego przyjaciela. Dwoje serc biło żywiej, dwoje rąk się ścisnęło. Był to jenerał Karnowski i pan de Saint-Preux.

Wtem pod ich nogami pękł granat moskiewski śmiertelnie raniąc obudwóch. W przeciągu kilku godzin obaj żyć przestali, połączeni w śmierci jak w życiu.

Nad konającym Karnowskim klęczał młody oficer, syn jego. Ojciec oddał mu swój pałasz i błogosławił mu.

Nazajutrz przy szturmie młody Władysław stanął pierwszy na murach Smoleńska.

Alexander Szedler.

Rozmowa z dziaduniem.

Dziadziu kochany, powiedz mi przecie —
Bo ty już długo żyjesz na świecie —
Jak to się stało, że dziś Polacy —
Chociaż ród jeden — nie sa już tacy,
Jako przed laty nasi ojcowie,
Z odwagą w sercu a statkiem w głowie,
Co ziemi swojej strzegli tak dzielnie,
A na bój z wrogiem szli nierozdzielnie?
Jak się to stało mój dziadziu drogi,
Że dziś choć naród czerstwy i mnogi,
Tak się pomieszał z obcemi cechy,
Jakby już nie miał ojczystej strzechy,
Jak gdyby z suknią, co nam ubyła,
Już się i dusza w nim odmieniła?...

O smutne rzeczy pytasz dziecino,
Bo tu i z własną spotkasz się winą...
Chciałobyś wiedzieć, jak się to stało,
Że dzisiaj w rodzie krewnych tak mało?
Otóż posłuchaj, coć powie stary: —
Narody, dziecię, to jak zegary,
Co wtedy tylko tętnią i dzwonią,
Gdy Bóg je własną nakręca dłonią, —
A wszystkie kółka działają zgodnie; —
Lecz nam za grzechy a nawet zbrodnie —
Bo i te były moje dziecieczko —
Wytrącił szatan średnie kółeczko:
I ztąd nam wielka urosła szkoda,
Bo tem kółeczkiem to była zgoda!...
Odtąd też w różne poszliśmy strony: —
Jedni z niesławy zbierali plony;
Drudzy niepomni, że wolność święta,
Sami za złoto dali się w pęta:
A inni znowu maluczcy duchem,
Zmilkli pod srogim losu obuchem,
I tylko garstka, co wiarę miała,
Z orężem w ręku skonała!

Ach prawda, dziadziu, — smutne to rzeczy,
I niechaj Bóg nas ma w swojej pieczy!
Niech zeszle skruchę na przeniewierce,
A trwożnej dziatwie umocni serce;
To może nową złączeni spółką
Znajdziemy nasze stracone kółko! —
Lecz mój dziaduniu, ja nie wiem wcale,
Zkąd na mnie wina spada w udziale?
Ja strzegę ojców i czci i wiary,
Dlaczegoż spólne mam znosić kary?

Dziecię kochane — grzeszna twa mowa,
Bo cię twe własne winują słowa.....
Cóż po twej wierze, kiedy bezwładna,
Kiedy z niej iskra nie strzeli żadna,
Coby pokrewną rozgrzała duszę?
Toć jaśniej rzecz tę wyłożyć muszę:
Widzisz ma córko—wszyscyście winni,
Bo jedni głusi — drudzy bezczynni!.....
Niedosyć mówić: „kocham i wierzę“,
Jeźli ta wiara w czyn się nie bierze,
Jeźli i tacy, co działać mogą,
Każdy swą własną puszcza się drogą......
Ale potrzeba kochane dziecię,
By z waszą chęcią szło w parze życie,
I byście wszyscy jak sznur żurawi
Lot jeden mieli — co wszystkich zbawi!.....
Bo niedość, dziecię, mieć myśli jasne
I w głębi serca życzenia własne: —
Tych świat nie widzi -- a on nas sądzi,
To cóż dziwnego, że w zdaniu błądzi?
Jemu potrzeba czynów i znaków; —
A po czem dzisiaj poznasz rodaków?
Gdzież wasze cechy — gdzie strój odwieczny,
Co był tak piękny — a tak stateczny?!
Bo strój — dziecino — to rzecz niemarna,
Niejedno — suknia biała a czarna,
A kto swych ojców suknią pomiata,
W końcu własnego zaprze się brata;
Bo to upadku pierwsza przyczyna!......
A teraz wiesz już, w czem twoja wina?

Oj wiem dziaduniu, i dzięki tobie
Żeś mnie pocieszył w mojej żałobie,
Bo wiem już teraz, co robić trzeba
Aby zasłużyć na pomoc z nieba!.....

7. listopada 1860.

Fr. W.

WSPOMNIENIE Z ŻYCIA HETMANA JABŁONOWSKIEGO.

Przykłady wielkich cnót obywatelskich, gotowość do znacznych, owszem najwysileńszych ofiar nie były nigdy obce Polakom. Każdą choćby najsmutniejszą chwilę dziejów naszych rozjaśnia taki piękny promień. A do ponurych chwil onych należy panowanie pierwszego Sasa Augusta II. Na tle zbierających się chmur srogiego zawichrzenia wewnątrz, coraz wyuzdańszej swawoli i dążności egoistycznych, świeci cale różnym blaskiem wdzięczna postać wielkiego starca hetmana Stanisława Jabłonowskiego.

Całe życie jego składało się w pasmo najszczytniejszych obywatelsko-rycerskich cnót. Od lat pacholęcych aż do grobu serdeczny przyjaciel króla Jana III był mu oraz najwierniejszym duchem we wszystkich politycznych czynnościach. Po zgaśnięciu onej promiennej gwiazdy, przyświecającej znacznemu okresowi dziejów, padło hetmanowi bogdaj w części wypełnić próżnię bohatera w upadającym narodzie. Jakoż odpowiedział on istotnie temu przeznaczeniu — a pamięć ostatnich lat żywota jego barwi niepoślednia chwała zasług.

Otaczała go też niezwykła cześć i uszanowanie. Sam August II cenił wysoce niezbyt sobie przychylnego hetmana, a jeden z najgłośniejszych mocarzy i despotów ówczesnych, Piotr Wielki, popadał na widok Jabłonowskiego w niezwykłe uszanowanie, i niezwykłe usposobieniu swemu mawiał wówczas słowa: »Gdybyś był hetmanie moim poddanym, tobym cię słuchał i szanował jak ojca.«

Ową często w życiu Jabłonowskiego napotykaną miłość i uszanowanie spotęgował w sobie najsilniej własny syn hetmański, Jan Stanisław, wojewoda ruski a głośny i znakomity czasu swego autor. W pisanym przez siebie pamiętniku wyraża się wojewoda o swoim ojcu zawsze w najwyszukańszych wyrazach uwielbienia. Te zaledwie kilkokartkowe konotatki mieszczą w sobie wiele ciekawych o hetmanie szczegółów[1]). Jeden z tychże będzie przedmiotem niniejszego wspomnienia. Odnosi się on do wzwyż pomienionych wielkich cnót obywatelskich Jabłonowskiego. Pominięty lub tylko bardzo pobieżnie wspominamy w drukowanych z onego czasu pomnikach, nieco obszerniej w francuzkiej biografii hetmana, uznakomica się nieskończenie w serdecznem i szczegółowem opowiadaniu wojewody ruskiego. Gdy zaś wspomniony pamiętnik dotychczas tylko rękopiśmiennem, a przeto nie zbyt znacznej liczbie czytających dostępnem pozostał źródłem, przyznajemy sobie chętnie powinność nieco szerszego rozgłoszenia i uzupełnienia miłej wiadomości bogdaj o jednej z zasług tyle czczonego hetmana.

»Nie mogę opuścić tutaj dobrodziejstwa« — pisze syn hetmański w swoim pamiętniku — »które uczynił mój ojciec ojczyźnie swojej w odebraniu Kamieńca i Podola.« Zrozumiałem dostatecznie jest dobrodziejstwo przysporzenia narodowi tak znacznej części kraju, lecz bliższy nieco pogląd na ówczesne polityczne stosunki przydaje mu nierównie znakomitszą ważność.

Działo się to r. 1698 w czasie zawierania przymierza w Karłowicach. Sławiąc znaczenie tego pokoju

prawi o nim znakomity badacz historyi mahometańskiej[2]): »Pokój ten po długoletniej wojnie zawarty przez Turków czterema chrześcijańskiemi mocarstwami (tj. z Cesarzem, Wenecyą, Polską i Rosyą), pokój ten, przez który upadek państwa Ottomańskiego prawomocnie światu został oznajmionym, zakończa nietylko jeden z najgłówniejszych okresów historyi Ottomańskiej, lecz określa zarazem nowe stanowisko tegoż mocarstwa względem państw europejskich«. Komuż zaś mogło więcej zależeć na określeniu tego stanowiska jak Polsce? Od kilku wieków przedmurze Europy przeciw mahometańskiemu pogaństwu, od tyluż czasów męczenniczka w sprawie chrześciaństwa, wyczekiwała nasza ojczyzna już nazbyt długo tego »oznajmienia upadku« państwa Ottom. A poniosłszy tyle zasług, tyle strat w pełnieniu historycznego posłannictwa swego, godziło się jej zająć w obecnej chwili reorganizacyi stosunku politycznego odpowiednie długoletnim zasługom miejsce.

Tymczasem rozpostarła się nad całą sprawą jakaś smutna oziębłość ze strony polskiej. Król August II stał się dla niej prawie obcym, i zajmował się w czasie układów karłowieckich całkiem inną myślą, marzeniem o podboju Szwecyi. Zapalony ponętnemi planami Piotra Wielkiego przepomniał on całkowicie o starożytnym, tylą klęskami dla Polski brzemiennym stosunku z Turcyą. A ta lekkomyślność króla pociągnęła za sobą bardzo niemiłe skutki.

Pierwotne, jeszcze w r. 1694 zawięzywane preliminarya poźniejszego kongresu w Karłowicach miały za staraniem pełnomocnego Polski posła Stanisława Małachowskiego w polskiem mieście Stryju być zakończone. Dotyczone w niem mocarstwa przystały chętnie na takowe całkiem słuszne i niejednokrotnie zasłużone wyszczególnienie Polski. Jednakowoż zamierzone podówczas dzieło przedłużyło się na lata, a po wstąpieniu Augusta II na tron popierano polską sprawę tak nieskrzętnie, że bez względu na dawniejsze plany wyznaczono na miejsce kogresu węgierskie Karłowice. August przyjął bez wahania nowy projekt i wysłał niebawem tegoż Stanisława Małachowskiego, wojewodę poznańskiego, jako pełnomocnego posła z swojej strony.

Lecz upośledzenie Polski nie skończyło się na tem. Przybywający do Karłowic wojewoda zastał ze zgrozą ogólnie już przyjętą podstawę przyszłych traktatów w słowach: »*Possideant ut possident*... ..Każdy ma posiąść co w obecnej chwili posiada.« Ile zaś podobny warunek sprzyjał reszcie dotyczonych państw, tyle zagrażał pomyślności Polski. Cesarz bowiem dzierzył w onej chwili prawie całe Węgry, Rosya świeżo zdobyty Azów, Wenecya niezbyt dawno odzyskane posiadłości. — Jakżeż inny stosunek dotykał w obecnej chwili Polskę! Od lat kilkudziesięciu trzymali Turcy w ręku swem Kamieniec, od lat 30 udaremniała strata owa wszelkie wysilenia króla Jana III w celu bezpiecznego posięścia Podola. Kamieniec bowiem stanowił klucz tej rozległej a wielce ważnej części kraju polskiego. Daremna nadzieja utrzymania Podola bez Kamieńca równała się pewnikowi. Wreście zabezpieczeni pokojem od sąsiednich mocarstw Turcy nie wahaliby się z pewnością zerwać przymierze polskie, byle sobie zapewnić panowanie w onej południowej prowincyi. Rozumiano tak sprawę tę powszechnie, a już wówczas srodze niewdzięczne za oswobodzenie go od niewoli tureckiej w r. 1683 przez Jana III mocarstwo, popierało jak najgorliwiej niefortunne dla Polski zamysły. Tej ostatniej przyszło stanowczo wyrzec się nadziei odpoczynku po długowiekowych wysługach około chrześciaństwa na gruzach »światu zwiastowanego« upadku mahometanizmu w Europie. Nie dziw też żałości zacnego wojewody pozn., z jaką tenże przyjął wiadomość o przyjętej ogólnie podstawie przyszłych traktatów.

Dnia 2. listopada otwarto pierwsze posiedzenie kongresowe. Oczywiście zapragnął Małachowski zwolnienia tak uciążliwych dla Polski preliminaryów. Jednakowoż pełnomocnicy tureccy nie dali sobie o tem nawet mówić, a nazbyt dyplomatyczni mediatorowie usuwali się przed tak drażliwą kwestyą. Toż pod najniepomyślniejszą wróżbą dla naszej ojczyzny rozpoczął się kongres. Na pomocne wdanie się króla Augusta, zaprzątnionego całkowicie planami carskiemi, nie można było zgoła liczyć, gdy tymczasem na dalszych konferencyach podobnież niefortunnie składały się dla naszego posła okoliczności. W tak smutnej dobie »naswarzywszy, nażaliwszy się nadaremnie na konferencyach« — pisze wojewoda ruski — »przysyła Małachowski rozsadzoną pocztą do mego ojca, co z tym czynić, tj. że Kamieniec jako go *non possidemus* na wieki *non possidebimus*, o który 30letnią wojnę prowadziliśmy.

Bawił zaś hetman podówczas we Lwowie. Usłyszawszy tak przykrą relacyę zebrał obecnych natenczas w mieście senatorów i pułkowników na naradę. Lecz i ta niewiele pomogła naszej sprawie. Gdy zaś na rychłem poczynaniu sobie wielce zależało, umyślił hetman jeszcze jednej spróbować drogi.

Na dworze sułtańskim w Carogrodzie przemieszkiwał powyższemi czasy znakomity Tatar Selim Gierej. »Ten bywszy kilkadziesiąt lat hanem« — jak nas pamiętnik wojewodziński poucza — »poszedł do broga Mahometowego i przeto według prawa tureckiego świętym został, i takiego dostąpił u Turków respektu, że mu pozwolili dobrowolnie złożyć hañstwo, synowi je oddać, i wzięli go do Stambułu, tak iż na dywanie nad wezyrem zasiadał i nim rządził. Tenże sam han dwa razy pod Żurawnem i pod Wiedniem Polskę salwował, i był króla Jana i mego ojca pobratym, bo jeszcze z nimi przy Polakach na Szwedów i Moskwę wojował«[3]).

Otóż to pobratymstwo z przyjaznym Polsce poganem miało dzisiaj posłużyć hetmanowi do wybawienia ojczyzny. Nie mieszkając po ukończeniu narady zabrał się hetman do potrzebnych ku temu korespondencyi. Dla tem większego pospiechu został ku pomocy przywołanym tylekrotnie wspominany tutaj syn hetmański, wojewoda ruski — a nam podarza sposo-

bność przypatrzenia się bardzo zajmującej chwili z życia zacnego starca-bohatera.

Piękne i wspaniałe czoło sześćdziesięciocztero-letniego hetmana wiązało się w chmurne fałdy pod natłokiem smutnych rozważań, gdy z ust płynęły nader ważne dla losów Polski słowa. Był to list do znajomego Selim Giereja. W tym zaś bardzo mądre i przyjacielskie przedstawienie, jako niepodobna będzie Polakom dochować z Turcyą przymierza gdy stracą Kamieniec. Iż zaś przymierze między tymi dwoma narodami gwałtownie jest potrzebnem, miałby han wejrzeć w to, aby je utrwalić. Taką radę i prośbę daje hetman hanowi: niechaj on wymoże na sułtanie zwrócenie Kamieńca, a wdzięczna Rzeczpospolita prześle mu natychmiast w dowód przyjaźni 20.000 czerwonych złotych.

Ostatnie jednak przyrzeczenie listu nie przypadło do przekonania panu wojewodzie ruskiemu. Wiedział on dokładnie iż ani okoliczności ani chęć nie dozwoliłyby Rzeczypospolitej pokwapić się z wypłaceniem tak znacznej sumy, zaś hetman, gotowy zawsze do podobnych ofiar, nie omieszkałby w takim razie bogdaj ostatek mienia swego poświęcić. Świeciły zaś istotnie już tylko ostatki fortuny hetmańskiej. Ówczesne materyalne stosunki domowe opisuje w następnych wyrazach dobrze onych świadom syn Jabłonowskiego: »Ojciec mój wprzód krwią oblawszy Podole, Kamieniec i Ukrainę, sybstancyą zadłużywszy na płacenie regimentów, sam przemysłem i polityką swoją Kamieniec, i te prowincye Polsce *restituit;* a już trzydzieści lat minęło« — pisze wojewoda w r. 1728 — »jako my synowie jego *in egestate perimus,* nie mogąc szeląga *vindicare* od Rzeczypospolitej zasług wojny tureckiej.«

Do tego »zadłużenia substancyi« mogły się teraz bardzo zgubnie przyczynić obiecane hanowi 20,000 cz. zł. Toż więcej rachunkowy wojewoda widząc, nad jaką przepaść ruiny majątkowej prowadzi hetmana gorliwość w usłużeniu ojczyźnie, ozwał się przy expedyowaniu listu z przynależnem synowi uszanowaniem do ojca:

— »Co WMPan Dobrodziej będziesz czynił, kiedy ofiarowanych prywatnie przez WMPana tych pieniędzy król i skarb nie dadzą?«

Na to porwał się sędziwy hetman i zawołał głosem stanowczym:

— »Na taką Ojczyzny potrzebę ciebie zastawię.«

»Tu się okazała wielkość duszy w moim ojcu« — przypomina sobie z dumą i radością tak upokorzony podówczas syn hetmański. Słowa bowiem Jabłonowskiego nie były jedynie czczym wyrazem gniewu lub chwilowej fantazyi. Natychmiast po ukończeniu listu przywołany został rotmistrz Dubrowski, zaufany hetmański a nawet tegoż spółklejnotnik — w herbie bowiem nosił Prus trzeci czyli Nagody — którego Jabłonowski wysłał wnet »ułakiem tj. rozsadzonemi końmi« do Carogrodu z powyższym listem.

Wypadało jeszcze dać respons biadającemu w Karłowicach wojewodzie poznańskiemu. Toż wkrótce po Dubrowskim wyjechał ze Lwowa drugi spieszny goniec do Małachowskiego z listem hetmańskim. Dowiadywał się z niego wojewoda najpierw o położonej w hanie Selimie nadziei, do którego radził hetman »adresować się« w tej sprawie. Kończył zaś list nadzwyczaj mądrze i dyplomatycznie ułożoną radą. »Przyjmij Waszeć« — pisał hetman posłowi — »te lubo niesprawiedliwe *praeliminare Uti possidetis*, ale tymi kondycyami *sine qua non.* Że ponieważ Turcy same tylko szczególne miasto Kamieniec *possident,* a Podole wszystkie Polacy i forteca św. Trójcy polska jest przecie na przedmieściach kamienieckich, że do Kamieńca nikt wnijść ani wynijść nie powinien przez grunt polski bez pozwolenia Rzeczypospolitej, *et e contra* kiedy się Kamieniec zostaje w posesyi tureckiej, żeby Wołochy, w których Turcy żadnej fortecy nie mają, zostały w posesyi polskiej z całym krajem nietylko z monasterami osadzonemi i wzwyż mianowanemi.«

Dzięki też gorliwości hetmańskiej poszła niebawem sprawa polska wcale weselszym torem. Nie tyle zapewne przypomnieniem pobratymstwa z polskim hetmanem jak raczej przyrzeczeniem »złotej wdzięczności« Rzeczypospolitej ujęty han, zaczął nadmieniać sułtanowi o niebezpieczeństwie wojny z Polską w razie niewydania Kamieńca. Nierównie zaś korzystniejszem okazywał Selim Gierej posięście całej Wołoszy, którą Polacy chętnie za wydanie Kamieńca z Podolem i Ukrainą Turkom obiecowali.

Perswazya hańska wpłynęła oczywiście niemało na poskromienie oporu pełnomocnych posłów sułtańskich w Karłowicach. Ożywiony nadzieją a pełen oratorskiego wdzięku wojewoda poznański starał się w następnych konferencyach jak najjaśniej wyłuszczyć Turkom korzyści nowej podstawy pokoju z Rzecząpospolitą polską. Pozostawało jeszcze użycie zbawiennej perswazyi na niejakie skrupuły hana, któryby dopiero wtedy wymógł na sułtanie stanowczy wyrok i zniweczył »złą a niewdzięczną intencyę Niemców.«

Środkiem ku temu miało się stać urzeczywistnienie onych przyrzeczeń »złotej wdzięczności«. Inaczej trudno było przychylności hańskiej objawić się z całym zapałem wewnętrznego przekonania. Pojmował to doskonale hetman Jabłonowski, któremu padło teraz dokończyć zbawiennego dzieła. Gdyby nie przeważne »zadłużenie« fortuny, uczyniłby był szlachetny starzec natychmiast zadość potrzebie. Tak zaś trzeba było przedłożyć całą sprawę królowi i Rzeczypospolitej. Uczynił to Jabłonowski wkrótce po wyprawieniu Dubrawskiego z korespondencyą do Carogrodu. Król August II przyznał słuszność i zacność poczynaniu hetmańskiemu, senat wraz z całą Rzecząpospolitą podziwienie i wdzięczność — ale o pieniądze było nadzwyczaj trudno. Podskarbi koronny Hieronim Lubomirski rozwodził żałośne biadanie nad niedostatkiem skarbu i niemożnością uiszczenia teraz tak znacznej sumy. Toż niewiele brakło hetmanowi do konieczności wypełnienia srogiej obietnicy danej synowi wojewodzie. Zaradził temu jednak sam król August. Nie chcąc kłopotać zawsze przez siebie wielce poważanego i cenionego hetmana,

rozkazał on żądaną sumę wypłacić z własnej szkatuły. Pieniądze złożone w ręce hetmana przesłał tenże jak najspiesznej hanowi Selimowi.

Więc natychmiast wpłynęła perswazya hańska z niezwykłą potęgą na umysł sułtana. Powolny mądrym a gorącym słowom świętego doradźcy swego, rozkazał następca Mahometa posłom swoim w Karłowicach przyjąć żądania wojewody poznańskiego. ›Zła i niewdzięczna intencya Niemców‹ przestała zagrażać sprawie naszej. Na dniu 2 grudnia tegoż roku 1698, na 17 z kolei konferencyi pełnomocników w Karłowicach stanęła ostateczna ugoda w sprawie polskiej, mocą której zabiegi hetmana Jabłonowskiego i wojewody poznańskiego najpomyślniejszy uwieńczył skutek. Za ustąpienie Polaków z Wołoch przyrzekli Turcy oddać Kamieniec, oswobodzić z jarzma swego Podole i Ukrainę, słowem na podstawie traktatów chocimskich wrócić Polsce wszystkie zagrabione posiadłości.

Uroczyste zatwierdzenie pokoju karłowieckiego nastąpiło dopiero 26 stycznia 1699 r. Ciekawe opisanie towarzyszących mu ceremonii przytaczamy słowami pomienionego badacza dziejów ottomańskich [4]). „O dziesiątej godzinie rano wyruszyli posłowie w największej paradzie do przeznaczonego budynku kongresowego. Cesarskich posłów poprzedzało stu zbrojnych kirasierów tureckich, jańczarowie i spahy. Pośrednicy i poseł polski nadjechali z Piotro Waradynu, dokąd się tenże po zawarciu swych traktatów udał był, dalej poseł wenecki. Trzy traktaty zostały odczytane, to jest: cesarski, polski i wenecki, poczem wstrzymano się z podpisaniem do trzech kwandransów na dwunastą z powolności dla pierwszego posła tureckiego, który osądził, że już dawno konstellacya gwiazd nie była tak przyjaźną do podpisania przymierza jak tegoż poniedziałku o trzech kwandransach na dwunastą. Z zegarem w ręku zostały one trzy dokumenta podpisane, poczem otwarto cztery drzwi sali na cztery strony świata, iżby każden wchodził i świadkiem był podpisanych traktatów, jakoteż aby wieść o zawarciu pokoju rozbiegła się na cztery części świata. Kuryery pospieszyli z nią do Wiednia, Anglii, Polski i Wenecyi, a posłowie dali sobie pocałunek pokoju. Trzykrotna salwa dział została powtórzona w Piotro-Waradynie i Belgradzie. Tak został zawarty pokój w Karłowicach.“

Z wiosną tegoż roku miano wypełnić warunki traktatów. Dobra wola hetmana znalazła i tu szerokie pole do działania. Zaledwie po kilkumiesięcznych swarach, staraniach i pracach, zajęli Polacy dzięki hetmanowi Jabłonowskiemu w pewne posiadanie Kamieniec z Podolem i całą Ukrainą.

To tylko jedna z pomniejszych prawie zasług hetmana Stanisława Jabłonowskiego. A ileż to podobnych gwiazd nie świeci w błogiej pamięci jego żywota, podobnych zasług ile!

Nie podobna też jednym rzutem oka objąć całą zacność takiego żywota polskiego. Każden rys wymaga zastanowienia, każden czyn bliższej rozwagi.

Dopiero po dłuższem wpatrzeniu się w wielkie, historyczne postacie naszych bohaterów, zdołamy pojąć również wielką a dostojną przeszłość naszą.

Dopiero wtedy zrozumiemy słowa nieśmiertelnego wieszcza naszego Juliusza, z bolem rozdartego serca w czasie pielgrzymki do grobu Bożego wyśpiewane:

„O! miecza w ręce... jeszcze raz... i na te
Krainy dajcie runąć z krzykiem Huna.
Wróćcie nam groby husarze skrzydlate,
Niech nam Czarnieckich całych odda truna.
Godzinę tylko Boże... niech brodate
Z mogił powstaną dzieciny Peruna,
I hej! przez dawne Attylli bezdroże —
Godzinę tylko życia wielki Boże!...“

B. K.

Z dawnych dziejów miasta Lwowa.

Rusini.

(Ciąg dalszy.)

Wspomnieliśmy w poprzedzającym numerze o przerwie, którą zabiegi Rusinów o uznanie równouprawnienia religijnego i obywatelskiego, z tego powodu doznały, że spory ich z łacinnikami i między sobą całą ich uwagę zajmowały. Spory religijne z Łacinnikami wywołało zaprowadzenie kalendarza Gregoryańskiego. Gdy tenże w r. 1582 przyjęty został w Polsce, żądano, ażeby i Rusini wyznający obrządek grecki do niego zastósowali się, i król wydał nawet wyraźny rozkaz w tym względzie. Lecz Rusini stale się temu rozporządzeniu oparli, które za naruszenie wolności religijnej, przez króla im zaprzysiężonej, poczytywali — a gdy nietylko we Lwowie z rozkazu arcybiskupa Sulikow-

---

[1]) Pamiętniki J. Stanisława Jabłonowskiego wojewody ruskiego, rękopis Biblioteki Zakł. nar. im. Ossolińskich pod l. 437 f. o 37 kartkach, z których tylko 12 pierwszych obejmują pamiętniki. Dalej znajdują się już inszej treści zapiski jako portret Karola XII, panegiryki na Patkuła, Augusta II i t. p. Jak z pierwszych słów się dowiadujemy, zaczął go pisać wojewoda 1. maja 1722 r. a nakreślił zaledwie wspomnienia z lat dwóch t j. 1698 i 1699. Na nim też jako na wiarogodnem bo spółczesnem źródle polegając, prostujemy insze wiadomości o tym wypadku.

[2]) Hammer *Geschichte des osmannischen Reiches* Pest 1830. VI. 658.

[3]) Jonsac w swej *Histoire de Stanislas Jablonowski* III. 149 nazywa tegoż Hana mylnie *Kaplongierej*. Całe wreszcie opowiadanie o powyższym wypadku ulega w Jonsaca Historyi wielorakim zmianom, nad które przenosimy zawsze autentyczne wiadomości z rękopisu wojewodzińskiego.

[4]) Hammer *Geschichte des osm. Reiches* VI. 673 — 674.

skiego, ale i po innych miejscach chciano pozamykać cerkwie, w których obrządki religijne nie podług kalendarza gregoryańskiego, ale podług dawnego ruskiego odprawowano, liczne z tego powodu w kraju powstały rozruchy. *Wydał nareszcie król rozkaz, aby Rusinów do zmiany kalendarza nie zmuszać*, a za pośrednictwem Ostafieja Wotowicza, kasztelana wileńskiego i kanclerza litewskiego, Konstantego książęcia z Ostroga, wojewody kijowskiego, Stanisława Żółkiewskiego, wojewody bełzkiego i Jana Chlebowicza, kasztelana mińskiego, zawarto nareszcie w Warszawie 15 lutego 1585 transakcyę, mocą której arcybiskup przyrzekł żadnej więcej Rusinom nie czynić przeszkody w nabożeństwie greckiem i żadnej sobie nad nimi nie przywłaszczać zwierzchności.

Zatargi zaś religijne w łonie samych Rusinów lwowskich toczyły się podówczas głównie między bractwem miejskiem przez patryarchę Antiochii w roku 1585 i 1586 uregulowanem i przez carogrodzkiego patryarchę upoważnionem z jednej, a biskupem Gedeonem Bałabanem z drugiej strony, który w istnieniu i wzniesieniu się tego bractwa, (do którego wielu znakomitych obywateli ziemskich i ościennych miast przyłączyło się), uszczerbek swej powagi upatrywał. Rozliczne z tego powodu wszczęły się niesnaski. Biskup wyklinał bractwo, a to nawzajem zrzucało kapłanów z jego ramienia zesłanych z ambony i tylko przez siebie obranych duchownych słuchało i im się powodowało, których znowu biskup chwytać i więzić kazał. Chciał nawet biskup monaster św. Onufrego najazdem odebrać, lecz temu się znowu Rusini oparli. Wytoczyła się nareszcie sprawa przed synod brzeski i przed króla, którzy zgodnie spór na korzyść bractwa rozsądzili. Synod uchwałami swemi z r. 1589 i 1591 uznał bractwo za Stauropigian i wyrzekł, że jak dawniej nie podlegało władzy biskupiej, tak i na przyszłość tylko metropolicie kijowskiemu ulegać ma, i że do niego wyłączny zarząd tak cerkwią miejską jako i monasterem św. Onufrego, stanowienie kapłanów przy pierwszej a ihumena przy drugim i zawiadywanie szkółką, szpitalem i drukarnią należy. Uchwały te potwierdził król Zygmunt III dwoma dyplomatami za wstawieniem się Konstantego księcia na Ostrogu i Teodora Skumin, wojewody nowogrodzkiego bractwu w r. 1593 wydanemi.

Po uśmierzeniu tych spraw wzięli się w r. 1595 znowu Rusini do prosekwowania swych swobód obywatelskich i wydali o to miastu formalny proces w sądach nadwornych królewskich. Ale mimo wielkich kosztów, które na to łożyli i mimo wstawienia się księcia z Ostroga wyroku otrzymać nie mogli, ponieważ król ani ich sobie zniechęcić, ani przyznaniem żądanych przez nich swobód, ich w oporze przeciw unii kościelnej utwierdzać nie chciał. Odkładał więc sprawę od roku do roku, a tak samo postąpili sobie i jego następcy Władysław IV i Jan Kazimierz. Listy obronne jednakże, które pierwszy w r. 1639, drugi w r. 1653, Rusinom wydali, zasłoniły ich od większych uciemiężeń z strony Magistratu; — a wyrokiem królewskim w sprawie między Ormianami a radą na dniu 13. Lutego 1686 zapadłym uzyskali przynajmniej to ważne przyznanie, „że do uchwały i nakładu nadzwyczajnych podatków i składek radcy dwóch, ławnicy jednego, 40 mężowie czterych, ormiańscy sędziowie trzech, a Rusini dwóch deputatów z pomiędzy siebie wybierać i mianować mają“.

Nie na wiele się Rusinom wprawdzie to przyznanie przydało, bo pomimo dekretu królewskiego, magistrat deputowanych ruskich dopuszczać nie chciał, a gdy w skutek skarg przez nich wniesionych, August II, nowym reskryptem z dnia 25. czerwca 1699 zachowanie Rusinów przy należącem im prawie nakazał, pozwał ich magistrat przed sąd nadworny o uchylenie tego reskryptu. Ztąd rozwlekłe i kosztowne procesa i podróże do Warszawy jednej i drugiej strony, które dopiero w kilka lat po zupełnem przystąpieniu Rusinów lwowskich do unii, zupełnie ustały.

Tępo szło zrazu z tą unią na Czerwonej Rusi i nietylko biskupi ruscy we Lwowie i w Przemyślu, ale i bractwo miejskie żadnym sposobem przystąpić do niej niechcieli. Oporu bractwa nie zdołało przełamać nawet przystąpienie publiczne biskupa lwowskiego Józefa Szumlańskiego w r. 1700 uskutecznione i gdy tenże powróciwszy z Warszawy do Lwowa siłą wojskową cerkiew bracką miejską opanował i tamże tron biskupi ustawił, przyszło ztąd do wielu gorszących tumultów, a bractwo zacięte w szyzmie wyprawiło deputacyą swą do króla Augusta z prośbą, aby przy swem wyznaniu i swobodach podług przywilejów królewskich zachowane i od natarczywości biskupa zabezpieczone zostało.

Deputacya ta uzyskała cztery reskrypta, mocą których wszystkie bractwa swobody na nowo zatwierdzono, wszelka zwierzchność arcybiskupa nad nim uchylona i biskupowi zalecone zostało, ażeby chociaż sam do jedności ze stolicą apostolską przystąpił, Ruś lwowską przy dawnej obrządku zostawił. *Nakazano oraz tak biskupowi jak też staroście i urzędowi radzieckiemu, by pod karą 20000 dukatów nikt się nie ważył Rusinów w ich wolnościach i wyznaniu wiary nadwerężać.*

W roku 1708 przystąpiło nareszcie bractwo ruskie lwowskie do unii, zastrzegłszy sobie, aby jak niegdyś samemu patryarsze carogrodzkiemu, tak odtąd stolicy apostolskiej bezpośrednio podlegało, co papież Klemens XI zaraz zatwierdził. Od miasta zaś zażądało, ażeby dopuściło Rusinów do wszystkich swobod, które innym współobywatelom przysługują i które Rusinom jeszcze 1682 i 1685 r. za panowania Jana III na ten przypadek zapewnione zostały, że od szyzmy odstąpią i z kościołem rzymskim się złączą. Nie chciało miasto o tem słyszeć i silniej jeszcze Rusinów podatkami i daninami obarczać poczęło. Zaczęło się pospólstwo ruskie burzyć i szemrać, zdawało się nawet, że do szyzmy wrócić zamierza. Otrzymawszy o tem wiadomość biskup Barlaam Szeptycki, zebrał niezwłocznie w cerkwi św. Jerzego wszystkie bractwa lwowskie, które wspólnie z prałatem udecydowali popierać wszelkiemi siłami sprawę przeciwko miastu. Obrano więc plenipotentów, rozłożono składki na koszta procesowe i pełnomocników do Warszawy wyprawiono, którzy uzyskali pozew, ażeby się miasto przed sądem nadwornym do sprawy stawiło. Oburzony tym pozwem magistrat, zwłaszcza, gdyż zmuszonym się widział z swej strony deputatów do Warszawy dla obrony swej wyprawić, uchwalił w tym celu nowy pobór na mieszczan, rozłożył znaczniejsza część onegoż na Rusinów i

exekwował z największą surowością rozłożone na nich kwoty więziąc uboższych i upartych, pieczętując sklepy i piwnice bogatszych. Wnieśli przeciw temu Rusini protestacyę do aktów grodzkich, a do króla i hetmana udali się z swą żałobą i tyle uzyskali, *że król reskryptem z 23 marca 1713 zakazał te bezprawia i Rusinów od wszelkich składek, wyjąwszy podatek rzeczypospolitej uwolnił*, hetman zaś Adam Sieniawski zakazał komendantom, ażeby exekucyi przeciwko Rusinom nie udzielali. Osięgnąwszy tyle Rusini, wyprawili swych deputatów do Warszawy i uzyskali nareszcie wyrok sądów nadwornych dtto. 16. Września 1713 roku tej osnowy: „że Rusini mogą sprawować urzęda radzieckie i inne w Magistracie, że po publikacyi tego wyroku przy pierwszej elekcyi do rady miejskiej obrani być mają, że podatki w równym stosunku z Polakami płacić, handel wszelki, rzemiosło i kunszta prowadzić, propinować, aptekarzami i chirurgami być mogą“.

Radość Rusi była bez granic, powiada kronika Lwowa, ale długo nie trwała, ponieważ wkrótce odebrali Rusini nowy pozew ze strony miasta, ażeby się jeszcze raz przed sąd nadworny dla reassumpcyi tej sprawy stawili. Gdy temu zadość uczynili i proces reassumowany został, wydał kanclerz koronny Jan Szembek 20 grudnia 1714 r. wyrok tej osnowy, iż chociaż sprawa Rusinów lwowskich jest sprawiedliwą, wszelakoż dla ostatecznego jej rozstrzygnienia obie strony stawić się mają do innego sądu nadwornego *Relationum* zwanego, gdzie naówczas rozsądzoną zostanie, gdy na nią kolej przyjdzie. Na nieszczęście sąd ten rzadko kiedy mógł przyjść do skutku, osobliwie dla stron mniej zamożnych, bo na nim sam król osobiście zasiadać musiał. Ciągnął się więc ten proces jeszcze 29 lat, a dopiero w r. 1745 sprawa ta stanowczo na korzyść Rusinów rozsądzona została i komisya z ramienia królewskiego do Lwowa zjechała, dekret ogłosiła i elekcyę urzędników nakazała, przy której po pierwszy raz Jerzy Kocij w urzędzie radzieckim, Jakób Rusianowicz, Michał Horoszko i Michał Laskowski w ławicy, siedmiu innych w gremium 40 mężów zasiadło, a Rusini co do praw, handlu i propinacyi z polską nacyą porównani zostali.

Oto w krótkości historya tak zwanej sprawy ruskiej we Lwowie, w której tylko data w kronice miasta Lwowa porozrzucane zestawiliśmy, po większej części własne słowa uczonego kronikarza przytaczając.

Niech nam wolno będzie zakończyć rys ten pobieżny następującemi uwagami, które nam się z samego zestawienia faktów wynikać zdają.

Po pierwsze. Ludność ruska miasta Lwowa *do gminy miejskiej należąca* była początkowie bardzo szczupłą i o ile się szyzmatyckiego wyznania trzymała, była nietylko od niektórych praw miejskich wykluczoną, ale nawet w wolnem wykonaniu swych obrządków religijnych bardzo ścieśnioną.

Po drugie. W miarę, jak się ta ludność wzmagała i hierarchia kościelna ruska się ustalała, domagali się Rusini coraz silniej tak zniesienia ograniczeń krępujących ich w wykonywaniu swych obrządków religijnych, jak i praw obywatelskich miejskich, a pomogła im do tego unia Litwy i Rusi z Polską i wyrzeczone przy tejże równouprawnienie szlachty ruskiej z polską, do którego się odwolywać mogli, i które im w szlachcie ruskiej na Wołyniu, Podolu i Litwie naturalnych sprzymierzeńców i protektorów dało.

Po trzecie. Jeżeli te usiłowania nie zawsze z równą wytrwałością i energią popierane bywały, winne temu przedewszystkiem ciągłe wewnętrzne zatargi Rusinów miejskich a mianowicie członków bractwa z biskupami, a kandydatów na biskupstwo między sobą, które z biegiem czasu powoli się uśmierzały i dopiero po przystąpieniu wszystkich Rusinów lwowskich do unii zupełnie odstały.

Po czwarte. Skargi Rusinów lwowskich na ukrócenie ich swobód religijnych i obywatelskich, sprawy ich nawet wewnętrzne ilekroć przed królów wytoczone zostały, u nich i u radnych panów zawsze względne znajdowały ucho. Czy to w sporach o zaprowadzenie gregoryańskiego kalendarza, czy to w zatargach bractwa z swemi biskupami, wszędzie królów pośredniczących, łagodzących, broniących swobód religijnych już raz nabytych widzimy. Widzimy hetmanów zosłaniających Rusinów od wyekzewowania podatków niesłusznie na nią przez radę miejską nałożonych. Po trzykroć uznali nawet królowie polscy wyraźnie równouprawnienie obywatelskie Rusinów lwowskich. Ale rozporządzenia te królewskie zawsze bezskutecznemi pozostały, ponieważ rada miejska takowe albo jakoby niebyłe pomijała, albo ich odwołania na mocy dawnych przywilejów miejskich żądała i to odwołanie wyrabiała.

Po piąte. Gmina miejska sprzeciwiała się równouprawnieniu Rusinów nietylko ze stanowiska religijnego jako gmina łacińskiego obrządku, ale więcej jeszcze z ducha korporacyjnego i monopolistycznego. Opozycya ze stanowiska religijnego albowiem już od roku 1708 ustać by była powinna, w którym bractwo miejskie lwowskie, a z nim i reszta Szyzmatyków lwowskich unię przyjęło, a my przeciwnie widzieliśmy, że rada miejska po tym przystąpieniu do unii jeszcze namiętniej wyznawców obrządku ruskiego od zarobkowości mieszczanom przysługującym odsuwała, dekret sądów nadwornych ze 16. września 1713 r., którym już zupełne równouprawnienie Rusinów orzeczone zostało, wówczas pozwami impugnowała i stanowcze jego potwierdzenie aż do r. 1745 odwlec potrafiła.

Niechże więc za wybryki ducha korporacyjnego w wielu innych względach tak zbawiennego nikt rządy polskie odpowiedzialnymi nie robi, i niech nie idzie na karb zawiści narodowych to, co poniekąd z troskliwości o utrzymanie duchowej jedności w gminie, a po większej części także dla ochronienia dawnych mieszczan od nowych współzawodników w rzemiosłach i handlach się działo.

(*D. c. n.*)

Kłopoty powieściopisarza.

— *Der Dichtung Flamm' war immer ein Fluch!* — wykrzyknął jeden z znakomitych poetów niemieckich. Zawód pisarski — powiedział niejednokrotnie Kraszewski — jest drogą samych cierni i grud, pasmem ciągłych trudów, znojów i poświęceń. Jeśli obadwaj mają racyę i zawód pisar-

*

ski należy w samej rzeczy uważać za przekleństwo losu, za przyjmowaną dobrowolnie cierniową koronę, to najsroższe z tych przekleństw najokrutniejsza z tych cierniowych koron, dostały się nieochybnie biednym powieściopisarzom.

Niepodobna! — zdawałoby się na razie. Ze wszystkich gałęzi literatury powieściarstwo rozbujało najmocniej, stanowisko powieściopisarza wydawałoby się jeszcze najpomyślniejszem. Żaden dziennik nie obejdzie się bez jego pomocy, żadna wypożyczalnia nie utrzyma się bez płodów jego pióra. Poeta musi w mozolne rymy wlewać swe wieszcze ognie, pisarz dramatyczny musi długo kołatać do scen i z najróżnorodniejszemi walczyć trudnościami, historyk, filozof, naturalista, bibliograf z trudem i mozołą ślęczą nad swemi przedmiotami, z trudem i mozołem dobijają się uznania. Jeden powieściopisarz przy iskrze prawdziwego talentu stąpa gładko jak po oliwie i droga jego usłana zda się samemi różami.

Nie potrzebuje się troszczyć o formę, może pisać powieść w listach, w pamiętnikach, z końcem na przedzie, z początkiem na końcu, może wleźć od razu w środek działania, chwytać bohatera u krawędzi grobu lub z rąk akuszerki — słowem, żadne z góry zakreślone prawidła, żadne z zewnątrz narzucone okowy nie stoją mu na przeszkodzie. Utwor jego byle jako tako znośny, dostępuje najszczęśliwszego na świecie losu. Nie oprawiają go w oślą skórę, nie przeznaczają mulom na żer, wyschli jak pergamin uczeni nie ostrzą na nich swych zond krytycznych — dostaje on się najprędzej i najpewniej w aksamitne rączki kobiet, śliczne oczka pożerają nagryzmalone w nim litery, dziewicze piersi wzdymają się westchnieniami nad jego ustępami, najszlachetniejsze na ziemi umysły zapalają się jego lukubracyami.

A choćby kto i nie cenił tak wysoce tych moralnych rozkoszy, pod iluż to jeszcze innemi względami wydaje się powieściopisarz szczęśliwszym od reszty piszącej braci. On najprędzej znajdzie nakładcę, dobije się imienia, staje jako potęga wobec dziennikarstwa, które w tej chwili całą niemal literaturę pochłonęło w swą służbę.

A przecież z tem wszystkiem i pomimo tego wszystkiego powieściopisarz powtarzamy jest najnieszczęśliwszem stworzeniem ze wszystkich rycerzy gęsiego pióra i czarnych strug inkaustowego płynu.

Coż mu po rozgłosie imienia, co po materyalnych sukcesach pióra, kiedy wszystko to musi okupywać stokroć sroższemi przykrościami. Miłoż mu się cieszyć i szczycić powodzeniami swej pracy, kiedy codzień z różnych stron obijają się o uszy złowieszcze chóry: Rozbujanie powieści to zguba literatury! Oczywista więc, że on w swej jednostce im więcej przyczynił się do rozbujania powieści, tem bardziej też popchnął literaturę do zguby — słowem popadł pod zaskarżenie matkobójstwa.

Nie wchodzić w to, zkąd powstają takie głosy! Cóż z tego, że odzywają się z niemi najczęściej tylko sami bankruci powieściarscy, co z wielkiem niebezpieczeństwem karku pośliznąwszy się kilka razy na tem polu, radziby hańbę własnych klęsk i zawodów zatrzeć potępieniem całego niemiłego, bo niedostępnego sobie działu literatury.

Kto sam bitew nie wygrał, temu wara... — Nicowa strategiczne plany Cezara — zawołał wieszcz natchniony. Ale słowa te nie stosują się bynajmniej do krytyków powieściopisarstwa. Oni właśnie dlatego rzucają się do nicowania cudzych planów, że strasznie kiepsko wypadły własne. Kto bez talentu chwyci za powieściopisarskie pióro, i na dudka wystrychnie się w kraju i za morzem, ten pewno zaraz nazajutrz po swem bankructwie potępi w czambuł całe powieściopisarstwo jak jest dzisiaj i jakiem może być kiedykolwiek. Ale wszystko to nie ma nic do rzeczy! Sens moralny, że bądź jak bądź już na samej istocie powieściopisarstwa ciąży częściowe potępienie.

A któryż inny utwor literatury narażony jest na tyle krytyk i sądów, co najlichszy płód powieściowy? Aby ocenić jakiekolwiek dzieło naukowe, potrzeba zawsze jakichś wiadomości, jakiejś choćby najpłytszej i najpowierzchowniejszej znajomości rzeczy — aby wydać wyrok o powieści nie potrzeba nic zgoła, można być ciemnym jak tabaka w rogu, a brać pod ostrze nieomylnej krytyki powieść najcelniejszą.

Nie masz człowieka na świecie, coby nie czuł się zdolnym osądzić, a nawet od biedy napisać powieść—lepszą oczywiście od wszystkich, jakie dotąd czytał.

Do napisania powieści nie potrzeba talentu! —wołał niedawno jeden bankrut powieściowy. Musiał powiedzieć prawdę, bo opierał się on na własnem doświadczeniu, (przecież i on napisał powieść) zapomniał tylko, że aby powieść tego rodzaju wydrukować, potrzeba być samemu redaktorem dziennika. Kto jednak podobnym krytykom wierzy na słowo, musi zawsze mieć przekonanie, że i najzdolniejszy powieściopisarz jest zawsze jeszcze człowiekiem bez talentu.

Cokolwiek inaczej określił powieściopisarza jeden z znakomitych naszych mistrzów pióra:

W tem sztuka, to jest zawód pisarza powieści
Poetą być potrzeba, by dobyć zdrój żywy
Nie szukać za górami osowiałej treści,
Gdy życie wszędzie swoje rozpościera dziwy
W jakichkolwiek się ramach obraz taki zmieści
Zajmie on i uderzy byle był prawdziwy!
Znać ludzi, kochać ludzi — to jest sekret cały,
Zajęcia czytelników i autora chwały.

Ależ przeklęty pospiech! Zecer stoi mi nad karkiem i głodnem spojrzeniem towarzyszy każdemu pociągowi pióra. Chcąc jak najprędzej zaspokoić jego niecierpliwość, brnę Bóg wie w co, i zamiast pisać o kłopotach powieściopisarza, jak zapowiada tytuł, zapuszczam się w cytaty, i omal nie wpadłem w rozprawę co do stanowiska powieściopisarstwa w obec literatury.

To jednak nie moja rzecz. Nie przedsięwziąłem sobie stawać w szranki w obronie powieściarstwa, choćby mi to zupełnie uchodziło, bo proszę mi wierzyć na słowo, że już pół wieku mam na grzbiecie, a dotąd jeszcze nie popełniłem i zapewnie nie popełnię nigdy żadnej powieści.

Ze wszystkiego, co dotąd powiedziałem, ma wypływać w krótkości, że mimo wszelkich powodzeń powieściarstwa są przecież głosy, którzy po pierwsze uważają powieściarzy

za niepotrzebnych w kole uprawiaczy literatury, a powtóre nie widzą dowodów talentu w napisaniu powieści. Zapewneż to dlatego tak mało nowych powieściarzy powstaje temi czasy. Co chwila występuje przed nas jakiś nowy obiecujący poeta, mnożą się jak grzyby kandydaci na historyków, literatów i tp. a o nowego powieściopisarza ciężko jak z kamienia.

Właściwe jednak kłopoty i przykrości powieściopisarza nie zaczynają się od tego i nie kończą się na tem.

Przypuśćmy, że powieściopisarz pogodził się z nieuznaniem swej pracy i nie pragnie nic więcej, jak tylko bawić swych czytelników. Niech inni naprzód popychają oświatę — skromny powieściopisarz zgodził się pisać tylko dla rozrywki swych czytelników.

W takim razie musi się jednak z góry przygotować, że im więcej utwor jego będzie bawił innych, tem smutniejszym będzie dla niego samego.

Nie było i nie będzie pewno lepszej powieści, gdzieby stą, tysięcy ludzi nie widziało się skopiowanymi a tymsamem urażonymi do żywego. I otoż ma zaraz burzę nad głową. Jeśli powieściopisarz nie chce chwytać charaktery swe z powietrza i zamiast bezdusznych cieni wprowadza postacie z krwią i ciałem, musi rad nierad potrącić łokciem jakiegoś żyjącego, znajomego lub nieznajomego sobie poczciwca. Zaraz więc staje się paskwilantem i wywołuje tłuszczę nieprzyjaciol, którzy nietylko na śmierć potępią jego utwor, ale z całą zjadliwością obrażonej miłości własnej wezmą się do jego osoby.

Pokaże się zaraz, że nieszczęśliwy powieściopisarz, co np. taką lub owaką wadę odmalował w *p x y* lub *z*, posiada ją sam w daleko wyższym stopniu; ba nawet wszystkie głupstwa, śmieszności i występki, jakie wszystkie ujemne charaktery jego powieści posiadają pospołu, on je łączy sam jeden. Z żarliwych detraktorów powieści przybywają mu osobiści nieprzyjaciele, nieubłagani oszczercy.

A istnem niepodobieństwem jest dla powieściopisarza w jakikolwiek możliwy sposób ustrzedz się podobnych następności. W każdym łotrze jego kreacyi upatrzy zaraz sto poczciwych swój konterfekt uderzający, do każdego odmalowanego głupca znajdzie się zaraz stu kandydatów.

Jeden powieściopisarz mówił o Zoilu, co według pisarskich tradycyi miał posiadać przecie „pysk psi, głowę lisią i szpony straszliwe ktemu“ — a przecież i do niego znalazł się aspirant.

Nie pomoże powieściopisarzowi, jeżeli w dawniejsze czasy i odleglejsze okolice przeniesie tok działania swej powieści, zawsze znajdą się pierwotwory przedstawionych charakterów, którzy w niebogłosy wrzeszczeć będą na plagiat żyjącego społeczeństwa.

Żebyż jeszcze samą nienawiść tylko wzbudzały te urojone plagiaty żyjących ludzi; ale gdzie tam, pociągają one za sobą inne jeszcze nieprzyjemności. Znalazłszy w tej lub owej powieści domniemany konterfekt tego lub owego człowieka garną się ludzie zupełnie obcy i nieznajomi do autora i śród pochwał i komplementów podsuwają mu dalszych kandydatów wnet w postaci swych najbliższych krewnych, znajomych, sąsiadów, wnet jawnych swych przeciwników i nieprzyjaciół.

—Panie dobrodzieju, to dla pana wyborny typ do powieści! gwałtu coby to było śmiechu i krzyku na całe Samborskie, Żołkiewskie lub Przemyskie, gdybyś go pan obrobił po swojemu, tak jak to pan umiesz z dowcipem i sarkazmem! Ja tu panu dobrodziejowi opisałem niektóre szczególiki, niech pan dobrodziej sobie to przystosuje jak zechce.

I śród niezliczonych dalszych komplementów i objawów swego najwyższego uwielbienia poda ci spory plik papierów i zaraz z góry będzie się domagał terminu, kiedy niemiłą sobie postać będzie mógł wyśmiewać w drukowanej sukience.

— Ja to panie dobrodzieju puszczę w kurs po całej okolicy, strach, jaką to sławę zjedna panu dobrodziejowi.

I cóż na to odpowiedzieć człowiekowi, który ci się kłania nisko i prawi najłaskotliwsze dla ucha literata rzeczy o sławie, geniuszu itp. Aby go sobie nie zrazić, zbędziesz go jakąś zręczną wymówką, osłoniętą na pół w obietnicę, lecz wtedyś przepadł z kretesem. Jak cień będzie się odtąd kręcił za tobą, jak lichwiarz ubiegły termin wexlu będzie przypominał ci fakt lub osobę podsuniętą.

Do jednego z tutejszych młodszych czy raczej najmłodszych powieściopisarzy zjawił się jakiś jegomość z Żołkiewskiego czy Złoczowskiego, przywożąc, jak się wyrażał, umyślnie temat dla powieści, „godny jego jenialnego z humorem zabawnego pióra“. Poddawany temat miał zamykać w sobie oraz zemstę nad wiarołomną narzeczoną:

Nieznajomy jegomość miał się żenić z jakąś piękną i posażną panną: wyszły już zapowiedzi i zbliżał się naznaczony dzień ślubu, kiedy na jakimś improwizowanym wieczorze domowym oboje narzeczeni wzięli udział w jakiejś grze towarzyskiej. Jeden z gości pan Ignacy imieniem miał za fant siedzieć na cenzurze, a pan narzeczony miał zbierać zdania gości. Siedzący na cenzurze pan Ignacy bombardował jedną z obecnych panien ognistemi spojrzeniami miłośnemi a panna narzeczona zdobyła się na koncept rymowy i kazała mu zaaplikować dwuwiersz:

Kochany panie Ignacy
Nie puszczaj miłośnej racy.

Oczarowany głosem swej bogdanki narzeczony nie zrozumiał dobrze powiedzenia, i aplikując dwuwiersz, zamiast „miłośnej“ położył inny podobny brzmieniem przymiotnik, który zmieniał rzecz całą i utworzył ekiwok najfatalniejszy.

Całe zgromadzenie wybuchło w śmiech mimowolny, skonfundowany narzeczony zasłonił się powagą swej bogdanki.

— Tak panna Katarzyna kazała powiedzieć — wybąknął naiwnie.

Panna Katarzyna ledwie nie zemdlała ze wstydu i w pierwszym impecie nazwała pana narzeczonego głuchym czy głupim, tego samego wieczora zwróciła mu pierścionek zaręczny i nie chciała ani słyszeć o nim więcej.

Nieszczęśliwy kochanek udawał się teraz o słodką zemstę do powieściopisarza — Panie ona pęknie ze złości, jak to przeczyta! — zapewniał z złośliwym uśmiechem.

(*D. n.*)

Rozmowa Imperatora Pawła I. z Tadeuszem Kościuszko

w więzieniu w Petersburgu

przez M. Gagaryna

po francuzku napisana i na polski język przełożona.

Nazajutrz po wstąpieniu na tron, zawołał cesarz Paweł, Garyka doktora dworu, którego pytał się o stanie więźnia i o zdrowiu Tadeusza Kościuszki. Wydał zatem rozkaz, aby na niczem mu nie zbywało: rozkaz takowy wszystkich bardzo grzecznymi zrobił dla Kościuszki. Garyk Anglik był zawsze przyjacielem Kościuszki. Dnia 3. wyjechał Imperator w zwykłej asystencyi, i prosto wysiadł przed więzieniem tego bohatera. Odglos bębnów i prezentowania broni zadziwiły nieco Kościuszkę.

Wtem wszedł Paweł I. i rzekł: „Przyszedłem mój Jenerale, abym ci wolność przywrócił.“ Kościuszko zdjęty radością skłonił się: o śmierci Katarzyny wiedział od Garyka.

Paweł.

Czyli mię nie poznajesz, kto jestem?

Kościuszko.

Uznaję w osobie Pawła, Imperatora, a w darze przywróconej wolności, wyższego nad zaszczyt tronu, który posiadasz.

Paweł.

Ubolewałem zawsze nad losem Waćpana, ale za rządów mojej matki, nic mu pomódz nie mogłem, teraz zaś wziąłem za najpierwszy mej władzy obowiązek, udarować WPana wolnością. — Wolnym WPan jesteś.

Kościuszko.

Skłoniwszy się rzekł: Najjaśniejszy Panie! nigdym nie ubolewał nad losem własnym, ale ubolewać nie przestanę nad losem ojczyzny mojej.

Paweł.

Zapomnij Wpan o ojczyźnie, przyszła na nią kolej, jaka spotkała tyle innych państw, których pamięć tylko w dziejach została, a w tych dziejach WPan zawsze piękne wspomnienie mieć będziesz.

Kościuszko.

Obym był raczej zapomniany, a ojczyzna moja wolną została; upadło zapewne państw wiele, ale upadek Polski niema podobnego przykladu.

Paweł.

Dla czego, mój Jenerale? Wszakże Greckie i Rzymskie państwa podzielone zostały?

Kościuszko.

Prawda, Najjaśniejszy Panie, ale były pokonane bronią, i wprzód wolność niż egzystencyą straciły. Lecz Polska w własnem powstaniu swojem i wtenczas, gdy do żądanej wolności przychodziła, wtenczas, gdy najwięcej energii i patryotyzmu pokazała—upadła. Państwa tamte, gdyby były na własnych granicach tylko przestawały, gdyby ich ambicya ograniczoną była, żądza świetności i potęgi, która zależy od dobroci wewnętrznego rządu, gdyby były chciały być tak spokojne, jak Polska od wieków być zawsze nią chciała, istnieć by zapewne mogły.

Paweł.

Ale przyznasz WPan, że ta wasza Polska nie zgadzała się z interesem państw sąsiednich, i że wasi Polacy sami służyli za narzędzie do zguby swej ojczyzny.

Kościuszko.

Uwolnij mnie Wasza Cesarska Mość od dalszego tłómaczenia się; bo o upadku mojej ojczyzny, bez żywego poruszenia, ani mówić, ani myśleć nie umiem.

Paweł.

Nie uraża mnie to bynajmniej, jeszcze tem więcej WPana szanuję. mam nawet zadowolnienie mówienia z nim o tem, bo pierwszy raz zdarza mi się mówić z obywatelem, w którym znajduję, że prawdziwie kocha ojczyznę. Gdyby tak większa część przynajmniej Polaków była myślała jak WPan, jeszcze Polska mogłaby się utrzymać.

Kościuszko.

Ta część większa, N. Panie, była zapewne, a W. Cesarska Mość mógłby być świadkiem tylu cnót, tylu patryotyzmu, których dali dowody niepospolite w czasie ostatniego powstania. Wiem jak starano się fałszywie i najgorzej dać wyobrażenie W. C. Mości o narodzie naszym; wystawiono go nawet w oczach całego świata, jak hordę łotrów niepospolitych, nie cierpiących prawa, a przeto niegodnych bytu; cnotliwy i powszechny zapał, jedynie do ulepszenia ojczyzny, wydobycia jej z ucisku i nieładu, buntem nazywano; chęci najlepsze obywatelstwa poczytano za winę i skutek rozhukanego Jakobinizmu. Nakoniec, nietylko przeciw wszelkiej słuszności, ale przeciwko nawet prawdziwym interesom Rossyi, zniszczenie tej nieszczęśliwej ojczyzny, przez rozbiór zupełny jej krajów, za najzbawienniejszą radę podano. Ile ztąd zgorszenia niebezpiecznego dla losu państw wszystkich, ile okropnych skutków, ile nieszczęścia powszechnego, ile ofiar; gdyby ich zebrany razem widok mógł się zbliżyć do W. C. Mości, gdyby go nie zasłaniali ci, co wszystko za nic ważą, byle tylko z własnym służyli pożytkiem. i dla tego tron otaczają, aby do niego prawda i ludzkość przystępu nie miały; tak wspaniałe, tak dobre serce W. C. Mości wzruszoneby zaiste zostało litością nad losem narodu naszego.

Paweł.

Obróciwszy się do stojących zdaleka Jenerałów swoich: „Patrzcie co za żywość uczucia“.

Kościuszko.

Darujesz W. C. Mość, możem się uniósł daleko!

Paweł.

Nie, ale dałeś mi do myślenia, mówiłeś do serca mego. Żegnam WPana: teraz nie myśl o niczem, jak tylko o zdrowiu swojem: Dałem rozkazy, aby mu na niczem nie schodziło, co do wygody jego należy. Jeżeli co masz żądać, mów śmiało, zwierz się jako przyjacielowi, bo jestem prawdziwym przyjacielem WPana i chcę, abyś był wzajemnie moim.

Kościuszko.

Szacunek najwyższy, z najczulszą wdzięcznością, będzie zawsze mym obowiązkiem.

Paweł.

Dodaj, i przyjaźń: żegnam WPana, do widzenia.

Zdobycie Koldyngi.

25 grudnia r. 1658.

Najwięcej zasług położyli Polacy orężem, największą sławę zyskali przezeń. Toż przy każdem wspomnieniu z dziejów dawniejszych nasuwa się miła pamięć rycerskiego czynu.

Oto wnet po jednej z najboleśniejszych i najsmutniejszych chwil w życiu Rzeczypospolitej, po zawojowaniu Polski przez Szwedów, Moskali i Kozactwo w latach bezpośrednio niniejsze wspomnienie poprzedzających, widzimy nadzwyczajnie wspaniały obraz bohaterstwa polskiego. Ściga ono najeźdźców swych w własnym tychże kraju i odnosi pod wodzą Stefana Czarnieckiego prawdziwe laury. Jednym z tychże jest zdobycie Koldynga wielce warownego grodu. Pozostało nam tak piękne całej sprawy opisanie, że się nie wahamy powtórzyć je tu w całości. Zawierają je Pamiętniki Paska, znane i z wielką przyjemnością niejednokrotnie odczytywane. Mniemamy więc, że przytoczenie tychże stokroć prędzej zadowolni jak nieudałe a nowe zestawienie samegoż faktu.

Kreśli je zacny Pasek w następnych słowach:

„...A tymczasem powraca trębacz do Szwedów posłany, częstując nas ich parolem: „Jeżeli chcecie, czyńcie z nami, co wam fantazya każe kawalerska; my też także, jakieśmy się w Polsce nie bali, tem bardziej i tu się nie boimy.“ A potem zaraz i strzelać poczęli; lekce bo nas ważyli, widząc, że działka i jednego nie mamy; piechoty tylko jeden pułk, a Piaseczyńskiego cztery szwadrony i Semonowa ludzi trzysta, ale bardzo dobrych. Na konnych mówili oni, że to ludzie do szturmów nie zwyczajni, pójdzie to w rozsypkę jak raz ognia dadzą, bo tak sami więźniowie powiadali. Już każdy z pachołków trzyma ów snop słomy przed sobą, towarzystwo zaś w pancerzach tylko, niektórzy też z kalkanami (z bronią palną); a w tem przyjeżdża wojewoda i mówi: „Niechże was Bóg ma w swojej opiece i Imię jego święte. Ruszajcież, a jak przez fosę przeprawicie się, skoczcież pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić. Że nam tedy duchowni kazali to ofiarować na pamiątkę jutrzni, bo to samem było świtaniem w dzień Narodzenia Pańskiego, zaśpiewałem tedy z onymi, co w mojej komendzie byli: „Już pochwalmy króla tego.“ Wolski także Paweł, który potem był starostą Lityńskim, towarzysz natenczas królewskiej pancernej chorągwi, co także swojej chorągwi czeladź przywodził, kazał toż samo śpiewać. Tak Bóg dał, że z pod tych chorągwi i jedna dusza nie zginęła, a u inszych, co nie śpiewali, powytykano dziesięcinę. Skorośmy tedy do fosy przyszli, okrutnie poczęły parzyć owe snopy słomy. Już się czeladzi trzymać uprzykrzyło i poczęli je ciskać w fosę; jaki taki obaczywszy u pierwszych, także to czynil i wyrównali ową fosę tak, iż już daleko lepiej było przeprawić się tym, co na ostatku szli, niżeli nam, cośmy szli w przodzie z pułku królewskiego: bo źle było z owemi snopami drapać się do góry po śniegu na wał; kto jednak swój wyniósł, pomagał, i znajdowano w nich kulę, co i do połowy nie przewierciała. Wychodząc tedy z fosy, kazałem ja swoim wołać: „Jezus. Marya!“ lubo insi wołali: „hu, hu, hu!“ bom się spodziewał, że mi więcej pomoże Jezus, niżeli ten jakiś pan *Hu*. Skoczyliśmy tedy we wszystkim biegu pod mury, a tu jako grad lecą kule, a tu jaki taki stęknie, jaki taki o ziemię się uderzy. Dostało mi się tedy z moim watachą, że przy srogim filarze, albo raczej narożniku było jakieś okno, w którym srodze gruba żelazna krata, zaraz tedy przed ową kratą kazałem mur rąbać na odmianę: ci się zmordują, a ci wezmą. Było zaś na drugiem piętrze nad nami także takie okno, z takąż kratą; z tamtego okna strzelano do nas, ale tylko z pistoletów, bo z innej strzelby nie mógł strzelać. Jam też kazał do góry nagotować 15 bandoletów i jak który rękę wytknie, zaraz dać ognia. I tak się stało, aż oto i pistolet na ziemię upadł. Nie śmieli tedy już więcej rąk pokazować, ale tylko kamienie wypychali przez ową kratę, ale przecie już się tego było snadno uchronić niżeli kuli. Tymczasem jak rąbią, tak rąbią mur, i naokołosieńko nie wiedzieć, gdzieby Szwedom ręce wrazić. Kiedy już końce owej kraty widać, radziliśmy, bo tu już grad kul na nas nie pada; rozkosz, by co prędzej wniść pod dach, ale że nie było czem owej kraty wyważyć, musieli jeszcze dalej rąbać. Skoro już mógł się jeden zmieścić, aż ja każę czeladzi włazić po jednemu. Wolski, jak to chłop chciwy, żeby to wszędzie być wprzód, rzecze „wlezę ja“. Tylko wlazł, a Szwed go tam za łeb. Krzyknie. Ja go za nogi; tam go do siebie zapraszają, my go też nazad wydzieramy, ledwieśmy chłopa nie rozerwali, woła na nas: „dla Boga, już mię puśćcie, bo mnie rozerwiecie!“ Krzyknę ja na swoich: „Dajcie w okno ognia.“ Włożyli tedy kilka bandoletów w okno i dali ognia; Szwedzi puścili Wolskiego, dopieroż my po jednemu owem oknem leźli: już nas tam było z półtora sta, tymczasem idzie kilka rot muszkieterów, co to znać ztamtąd uciekli; już prawie wchodzą do sklepu, aż tu dadzą ognia w kupę; padło ich sześciu, drudzy w nogi na dziedziniec. Wychodzimy tedy sobie szczęśliwie ze sklepu i staniemy szeregiem w dziedzińcu, a tu coraz więcej ową dziurą przybywa. Obaczywszy nas w dziedzińcu, dopiero poczęli trąbić i chorągwią białą wywijać, co jest znak proszenia o miłosierdzie; odmieniwszy w krótkim czasie zwyczaj narodu swego świńskiego, co powiadali: że nie prosimy kwateru. Z kupy tedy rozchodzić się nie dam, póki nie obaczę generalnej konfuzyi nieprzyjacielskiej. Wolski także swoim.

W dziedzińcu nie masz nic, bo wszyscy ludzie porozsadzani, każdy swojej pilnował kwatery. Aż tu widać po wschodach z tych pokojów, gdzie sam był komendant, że schodzą na dół muszkieterowie. Mówię do swoich towarzystwa: „anuż mamy gości“. Kazaliśmy tedy stanąć czeladzi szeregiem, nie kupą, tak jakoby miesiącem, bo nie tak raz szeregiem jak w kupie, a kazaliśmy razem po wydaniu pierwszego ognia zaraz wziąść na szable. A tam w wojsku muzyka trąbi, w kotły hałas, grzmot, krzyk: wychodzą tedy w dziedziniec i zaraz stawają do ordynku; my też do nich postępujemy, już tylko ognia dać do siebie. A tymczasem z tych pokojów, co przy bramie, poczną uciekać, bo się już był Tetwin obersztlejtnant z dragonią złamał; skoczymy tedy na tych, co nam w czole dadzą ognia

z obu stron padło, i tam też wzięliśmy ich na szable, wpadło ich kilku na wschody, zkąd przyszli, drugich zaraz lewem skrzydłem przerżnięto od wschodów, nuż siec. Co tam uciekają przed Tetwinem, prawie jako pod smycz mu podchodzą, jako tedy tych, tak i tamtych położyliśmy mostem dopiero co żywo z naszego rycerstwa w rozsypkę, w rabunek po pokojach; po tych tam kątach zamkowych biorą, ścinają, gdzie kogo zastaną, i zdobycz wynoszą. A Tetwin też wchodzi z dragonią, rozumiejąc, że on tam do zamku najpierwszy wszedł; trupa leży gwałt, a nas tylko z pietnaście stoi towarzystwa, bo się już od nas porozbiegali i żegna się mówiąc: „a tych ludzi kto narżnął, kiedy was tu tak mało.“ Odpowiedział Wolski: „My, ale i dla was będzie, ono wyglądają z wieży.“ A w tem prowadzi tłustego oficera młody wyrostek. Ja mówię, daj sam zetnę go; on prosi: niech go pierwej rozbiorę, bo suknie na nim piękne pokrywają się. Rozbiera go tedy, aż przyszedł Adamowski, krajczego koronnego Leszczyńskiego towarzysz, i mówi: „panie bracie, gruby ma kark na Waści młodą rękę, zetnę ja go.“ Targujemy się tedy, kto go ma ścinać, a tymczasem wpadli do sklepu, w którym były prochy w beczkach; pobrawszy insze rzeczy, biorą też i proch w czapki, w chustki, kto w co ma. Dragon zdrajca przyszedł z lontem zapalonym, bierze też proch, jakoś iskra dopadła. O Boże wszechmogący, kiedy to huknie impet, kiedy się mury poczną trzaskać, kiedy owe marmury, alabastry, latać! A była tam wieża na samym rogu zamku nad morzem, na której wierzchu dachu nie było; tylko płasko cyną wszystka pokryta, tak jako w izbie posadzka; rynny dla spływania wód mosiężnozłociste, a w koło tego balassy i statuy także na rogach takież z mosiądzu, a grubo-złociste: miejscem też osoby z białego marmuru, takie właśnie, jakoby żywe. Bo lubom ich tam całych z bliska nie widział. ale po rozrzuceniu przypatrywaliśmy się, a jednę wyrzuciły prochy całą nienaruszoną na tę stronę ku wojsku, która właśnie taka była jak kobieta żywa, do której na dziwy się zjeżdżali, jeden drugiemu powiadając, że tam leży żona komendantowa, wyrzucona prochami; a tak leżała owa, rozkrzyżowawszy się w postaci jako człowiek z pięknego ciała stworzony, że rozeznać było trudno, aż prawie pomacawszy dopiero twardości kamiennej.

Na tej wieży, albo raczej sali, królowie uciechy swoje miewali, kolacye jadali, tańce i różne odprawowali rekreacye, bo jest w ślicznym prospekcie: może z niej wszystkie prawie królestwa swego widzieć prowincye, ale i część Szwecyi widać. Tam na tę wieżę komendant i wszyscy, co przy nim byli uciekali, i ztamtąd o kwater lubo nierychło prosili; ale te prochy, które wprost pod tą wieżą zapaliły się, wyniosły ich bardzo wysoko, bo wszystkie owe porozsadzawszy piętra, jak ich wziął impet, to tak lecieli do góry, przewalając się tylko między dymem, że ich okiem pod obłokami nie mógł dojrzeć, dopiero zaś impet straciwszy, widać ich było lepiej, kiedy nazad powracali, a w morze jako żaby wpadali. Chcieli niebożęta przed Polakami uciec do nieba, ale ich tam nie puszczono; zaraz Św. Piotr przywarł furtki mówiąc: „A zdrajcy! wszak wy powiadacie, że świętych łaska na nic się nie przygodzi, instancya ich do pana Boga nieważna i niepotrzebna, w kościołach w Krakowie chcieliście stawiać konie, strasząc Jezuitów, aż wam musieli niebożęta złożyć się na okupno jako poganom; teraz częstował was Czarniecki pokojem i zdrowiem, chciał darować, pogardziliście. Pamiętacie, coście w sandomierskim zamku zdradziecko prochy na Polaków podsadzili, a przecie i tam Pan Bóg ochronił od śmierci, kogo miał ochronić; wyrzuciły prochy pana Bobolę, szlachcica tamecznego, i z koniem aż za Wisłę na drugą stronę a przecie zdrowy został: i teraz strzelaliście gęsto, a nie wieleście nabili Polaków: czemuż? bo ich aniołowie strzegą, a was czarni, a toż macie ich usługę.“ Miły Boże, jakie to sprawiedliwe sądy Twoje! Szwedzi naszym Polakom tak wyrządzili w Sandomierzu, zasadziwszy miny zdradziecko w zamku. A tu sami na się tę zbudowali samołówkę, bo im to nasi nie z umysłu uczynili, ponieważ i samych tenże przypadek pożarł ze dwunastu. Nie wiedziano tedy, kto tam z naszych zginął, ale się tylko dorozumiewano, kiedy ani żywego ani zabitego nie znaleziono. Widzieli to widowisko królowie obaj duński i szwedzki: widziały wszystkie wojska cesarskie i brandeburskie, ale rozumieli, że to Polacy tryumf jakiś czynią na cześć Bożego Narodzenia. Radziejowski tedy i Korycki powiadali królowi szwedzkiemu, przy którym jeszcze natenczas byli, że to coś inszego: nie masz tego u Polaków w zwyczaju, tylko na wielkanocne święta.

Po owej szczęśliwej wiktoryi zrobiwszy tę robotę prawie we trzech godzinach, zaraz tam usadził na tej fortecy wojewoda kapitana Wąsowicza z ludźmi. Poszliśmy nazad, każdy do swego stanowiska, bo trzeba było w tak wielką uroczysłość mszy świętej słuchać; mieliśmy księdza ale nie było apparatu. Jeno cośmy w lasy weszli, aż księdzu Piekarskiemu wiozą apparat, po który był nocą wyprawił. Tak tedy stanęło wojsko, nagotowano do mszy na pniaku ściętego dębu, i tam odprawiło się nabożeństwo, napaliwszy ogień do rozgrzewania kielicha, bo mróz był tęgi. *Te Deum laudamus* śpiewano, aż się po lesie rozlegało. Klęknąłem księdzu Piekarskiemu usłużyć do mszy, ucieszony ubieram księdza, aż wojewoda rzecze: „Panie bracie, przynajmniej ręce umyć.“ Odpowie ksiądz: „Nie wadzi to nic, nie brzydzi się Bóg krwią rozlaną dla imienia swego.“ A potem naszych luźnych, spotykaliśmy wiozących nam supplement różny. — Gdzie kto swego zastał, tam siadł i jadł z owego wczorajszego głodu. Wojewoda wesoło jechał, że to prawie niezwyczajnym przykładem, bez armaty i piechoty, wziął fortecę taką, co oboje mógłby był mieć od elektora blizko stojącego, ale fantazya w nim była, że nie chciał się kłaniać, ale żeby do niego samego ta regulowała się sława, ufając w Bogu, porwał się i dokazał.

B. K.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.